Rok I. Lwów, 1. Czerwca 1899. Nr. 5.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:

rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 15 ct.

Adres Redakcyi: Lwów, ulica Kurkowa l. 14. Filia administracyi w Krakowie przy ulicy św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“. — Krasiński.

Zapowiedź walki.

Rozpoczynając wydawnictwo „Promienia“, byliśmy przygotowani na rozliczne napaści, — które spotkają nasze pismo. Wiedzieliśmy dobrze, że nad bagnem galicyjskiem unoszą się ćmy i komary, nie pozwalające ruszyć nogą z miejsca i zapalić choćby małe światełko. Dlatego postanowiliśmy na te napaści wcale nie odpowiadać, co najwyżej paru słowami; wypowiedziawszy walkę zacofaniu, serwilizmowi, martwocie fizycznej i umysłowej, panującym wśród młodzieży szkolnej, a tak dzielnie bronionym przez dzisiejszy system szkolny i jego wykonawców, uważaliśmy wszelkie *polemiki dziennikarskie za stratę czasu i energii*, czekaliśmy natomiast, kiedy rozpocznie się przeciw nam kampania, prowadzona wspólnemi siłami wszystkich, którym wytępienie w młodzieży szlachetniejszych popędów i dążeń leży na sercu. Pierwsze oznaki wojenne już się pojawiły. Mamy przed sobą ostatni zeszyt czasopisma „Muzeum“, organu Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych (średnich) a w nim wyraźną zapowiedź walki w artykule pt. „Czasopisma dla młodzieży.“ Towarzystwo wyżej wspomniane, jak zapewne wiedzą o tem czytelnicy, reprezentuje stan nauczycielski w Galicyi, opinię zatem, wypowiedzianą w jego organie musimy uważać za opinię większości profesorów, z tego też powodu zajmiemy się bliżej tym artykułem.

Autor omawia nowo powstałe czasopisma dla młodzieży: „Młodość“, „Tekę“, „Promień“ i „Przyjaciela młodzieży.“ Potępiwszy „Młodość“, wytknąwszy błędy „Tece“, która zdaniem autora, choć w ogóle dosyć umiarkowana, jednak „umie i ostrzej przemówić“, pochwaliwszy „Przyjaciela młodzieży“, autor najszczegółowej zajmuje się „Promieniem.“ Znajdujemy w ocenie cały szereg wyjątków, z artykułów, stanowiących treść pierwszych 3 zeszytów.

Opierając się na tych wyjątkach, autor przedstawia „Promień“ jako pismo, którego celem jest „systematyczne szczucie przeciw stanowi profesorskiemu“, sianie nienawiści i pogardy dla nauczycieli, wyrabianie w młodzieży lekceważenia dla rodziców, niewiary dla nauki i religii; zarzuca nam, że usiłujemy wytworzyć w szkole atmosferę brudu i kłamstwa, fałszu i obłudy, usiłujemy osłabić ten poufały stosunek, jaki istnieje (sic!) między uczniem a nauczycielem; dalej, że podburzamy młodzież do strejków (strejki we Lwowie i w Stryju są naszem dziełem!) do lekkomyślnego łamania przepisów szkolnych (w szczególności odnoszących się do kłaniania!) i t. d. i t. d. jakie tylko zarzuty ktoś sobie może wymyśleć! Po tych pociskach najgrubszego kalibru następują mniej-

sze jak: zarzut buty i zarozumiałości, z jaką występujemy w obec ludzi poważnych i zasłużonych np. w krytyce wypisów polskich pp. Tarnowskiego i Próchnickiego (z których pierwszy wedle autora, „należy do najznakomitszych naszych pisarzy, do ludzi *głębokiego patryotyzmu* i niezwykłej pracy,“ dalej idą zarzuty, że używamy nieparlamentarnych wyrażeń, takich np. jak: ogłupianie, **stronność** niedorzeczny karzeł, marny krytyk i jeszcze wiele innych, którychby na wołowej skórze spisać nie można. Mając się bronić od tego gradu pocisków, musimy zaniechać szczegółowego ich odbijania, ograniczymy się więc tylko na wyjaśnieniu naszego stanowiska odnośnie do stanu nauczycielskiego. Nikt chyba, zdaje się, nie wątpi, że dzisiejszy stan młodzieży szkolnej jest nad wyraz opłakany; potrzebę reformy odczuwają wszyscy, którzy tylko nie pozbyli się najprostszych zasad rozumu i serca. Tymczasem stanowisko, zajęte przez autora powyższego artykułu, a identyczne ze stanowiskiem większości naszych profesorów, jest wręcz przeciwne wszelkiemu postępowi, wszelkim zmianom. Dla nich *ideałem patryotyzmu jest hr. Tarnowski*, w ich pojęciu idealnym jest dzisiejszy system szkolny, idealnym obecny stosunek nauczyciela do ucznia, polegający na wzajemnem zaufaniu(!) stan nauczycielski jest kastą kapłanów nauki i wychowania, uczonych, o których tak świetnie mówi Goethe w Fauście (Część II):

„Daran erkenn' ich den gelehrten Herrn
Was ihr nicht tastet, steht euch meilenfern;
Was ihr nicht fasst, das fehlt euch ganz und gar;
Was ihr nicht rechnet, glaubt ihr, sei nicht wahr,
Was ihr nicht wägt, hat für euch kein Gewicht;
Was ihr nicht münzt, das meint ihr, gelte nicht.“ [1])

[1]) Podajemy te słowa w niezbyt trafnym, ale jedynym, jaki mieliśmy pod ręką, przekładzie Feliksa Jezierskiego:
Znać uczonego męża po tem słowie:
U was, co tknąć się nie da, mgłą się zowie;
Co niepojęte, to kłamstwo wierutne:
Co nieliczebne, głupstwo absolutne;
Co nieważące, to z wagi odarte;
Co nie z mennicy waszej, nic nie warte.

Szkoła zaś jest nietykalnym przybytkiem do którego profani, z wyjątkiem rodziców, wstępu mieć nie mogą!

„Dobro i pomyślny rozwój,“ powiada autor, „młodzieży szkół średnich nam przedewszystkiem i jako obywatelom kraju i narodu leży na sercu i stanowi codzienną naszą troskę, i nad którą opieka co do jej życia umysłowego i moralnego wyłącznie do rodziców i do nas należy. Nam tę młodzież powierzono, my zdamy za nią rachunek przed społeczeństwem. Nie możemy więc patrzeć obojętnie i biernie na to, jak rozmyślnie i ze złą wolą razem zaczynają podkopywać fundamenty, które z trudem i mozołem układamy pod przyszłość oddanej nam młodzieży“. Z słów tych widać jasno, że autorowi chodzi tylko o to, aby mieć bezwzględną władzę nad uczniami. Niech nikt nie miesza się do naszych spraw; niech nikt nie przeszkadza nam w układaniu fundamentów pod przyszłość oddanej nam młodzieży! O tak układacie bardzo trwałe fundamenta pod przyszłość uczniów, bo wasi wychowankowie będą mieli dobre posady, pensye, złote kołnierze, spokojne życie, będą spali błogo, tak jak śpią teraz pod waszem okiem, ale niszczycie równocześnie te podwaliny, na których prawdziwi obywatele ojczyzny naszej z trudem wznieść pragną gmach niepodległej Polski! Tak zdacie rachunek przed społeczeństwem, ale wtedy, gdy dzisiejsze pokolenie młodzieży będzie już stracone dla narodu, gdy z nich zostaną tylko martwe ciała, bez duszy! A gdy kto zechce zbudzić tę młodzież, wtedy wołacie do niego: wara zdala od świętych progów szkoły, gdzie panuje błoga atmosfera wzajemnej ufności i szczerości, precz z wszelką krytyką, precz z usiłowaniami „anarchistycznemi“, wznosicie groźnie dłonie wasze, uzbrojone w obosieczny miecz przepisów i kar szkolnych: Zarzucacie nam, że odbieramy młodzieży wiarę do religii, nauki, rodziców i nauczycieli, a sami, pozbawiacie ją wiary najcenniejszej, wiary w siebie, w swoje siły, w swoją lepszą i szlachetniejszą naturę!

Wiarę tę przez 30 lat tłumiono w narodzie, przez 30 lat zatruwano serca narodu, a dziś hr. Tarnowski i jego towarzysze z uznaniem mogą sobie powiedzieć, że wychowali sobie swoich zastępców i następców, którzy zapatrzeni w ideał swych przewodników duchowych prowadzą dalej misyę wynarada-

wiania i zmateryalizowania. Wydrzeć tę młodzież ze szponów stańczykowsko-klerykalnych, wskazać jej nowe drogi, obudzić w niej napowrót tę drogocenną wiarę w siły własne, w siłę swego narodu, oto nasze zadanie, oto cel naszej pracy, w której dzięki Bogu nie jesteśmy osamotnieni. Gmach pojęć i wierzeń, zbudowany przez hr. Tarnowskiego zaczyna się już rysować i kruszyć, ale szkody wyrządzone przez niego i jego towarzyszy naszemu narodowi, są tak olbrzymie, że długiej trzeba będzie pracy, nim społeczeństwa uwolni się zupełnie od tej dławiącej je hydry. Ogniem i mieczem niszczyć więc trzeba wpływ Tarnowskich, Koźmianów, podkopywać na każdym kroku ich znaczenie, a czy w obec tego oglądać się mamy na to, czy wyrażenia nasze są więcej lub mniej parlamentarne, czyż możemy kierować się w obec tych wrogów względami starszeństwa, pracowitości, choćby siwych włosów? Tego zrozumieć nie mógł autor omawianego artykułu, dla którego Tarnowski nie przestał być ideałem „głębokiego patryoty.“ Ale takich profesorów, jak szan. autor, jest większość. Jedni poddają się temu zgubnemu wpływowi zupełnie samowiednie, inni nie mają na tyle odwagi cywilnej, aby mu się oprzeć, aby przeciw niemu zaprotestować. Gdy przyjdą młodzi nauczyciele (zwyczajnie tacy, którzy mają dobre polityczne opisanie w Radzie szkolnej) z młodemi siłami, z wiarą, z dobremi chęciami, próbują z początku protestu, ale głos ich ginie przytłumiony w górnych sferach. Otoczenie wywiera swój wpływ, nauczyciel taki nagina się do szablonu, zniechęcenie i opłakane warunki materyalne dopełniają reszty.

W takich warunkach nie ma oczywiście mowy o polepszeniu stosunków szkolnych, zostaje status quo, a społeczeństwo skarży się coraz bardziej na brak młodych sił, na brak ludzi czynu i charakteru. System szkolny ulepia z uczniów według danego modelu figurki woskowe, ubrane najpierw w mundurki szkolne; po wyjściu ze szkół średnich zostają oni nadal figurkami, tylko zmienia się ich ubiór, z mundurka na mundur wojskowy, z munduru wojskowego na uniform urzędniczy, miejsce pasków złotych zastępują gwiazdki złote itd. itd.! A bagno galicyjskie nie wysycha wcale; gdy ktoś zechce się z niego wydobyć, nie pozwolą mu na to gromady puszczyków i nietoperzy, ale zepchną go napowrót, gdy ktoś rozjaśni ciemności, zbiegną się ćmy i komary i zmuszą go do ustąpienia! Najlepsze zamiary rozbijają się bądź o apatyę narodu, bądź o ataki wrogów naszych! Ale już czas najwyższy położyć temu koniec! Dlatego wołamy z Piastem:

„Czas już wpuścić trochę światła w zatęchłą atmosferę bagna galicyjskiego, zdruzgotać obce bogi, którymyśmy za długo służyli, nieomylności biurokratyczne, nadęte powagi, martwe bałwany, wystawione dla adoracyi bezmyślnych, a szukać drogi życia, światła i prawdy.“ Pod tem hasłem pracować będziemy nadal dla dobra młodzieży szkolnej, pod tym sztandarem toczyć będziemy bój w obronie postępu, wolności i uczuć narodowych.

Do naszych wielkich.

Wy się boicie, wielcy... urodzeni!
Wy się boicie, kiedy bujną strugą,
Jak z ukraińskich, stepowych zieleni,
Z ludowej masy, błyśnie jasną smugą
Myśl nowa, mknąca w ideału sferę...
Wy się boicie, gdy znękane czoła
Na chwilę rzucą myśl niedoli straszną,
Gdy ręce czarne opuszczą siekierę
I tam się zwrócą, gdzie ich szczęście woła,
Gdzie rozpacz, hańba i cierpienia gasną...
Kiedy wołają: pracy! wy z obłoków
Ściągając życia przyszłego nadzieje,
Mówicie: takie zrządzenie wyroków,
By jeden płakał — gdy się drugi śmieje!
Kiedy wołają: chleba! żyć pragniemy!
W złowrogą turmę uderzacie trwożni
I rewolucyi krwawej upiór niemy
Staje przed wami... wy wielcy pobożni!
Głos z robotniczej piersi gdy wybucha,
Krwawi wam usta i mózgi i serca,
A dreszczem trwogi przenikając ducha,
Wydziera okrzyk: Precz! „boś ty bluźnierca!
Bluźnisz krzyżowi czarnemu w kościele...
Zbrodniczą rękę wyciągasz ku niemu,
Bo demon piekła przyszłość twoją ściele,
Gotując zemstę rodowi bratniemu!
Bluźnisz szyderczo wybrańcom narodu,
Zdzierasz wiekowe wawrzyny z ich głowy,
Do morderczego szykujesz się chodu,
Na szyje możnych gotujesz okowy...
Bluźnisz nakoniec rządów wielkiej mocy,

Jednym zamachem niszczysz wieków dzieje:
Cezary, króle, magnatów, z korony
W proch rzucić pragniesz — cały świat się
[chwieje
Od groźnych mruków twojej ciemnej masy...
Ty idziesz... z tronów potęgą w zapasy!!"
Wy się boicie, kiedy głos rozpaczy
Z piersi milionów groźnie w świat wystrzela,
Gdy pospolity tłum dziennych oraczy
Zapragnie chleba, spokoju, wesela,
Kiedy te dusze, co miliony liczą,
Żywiołu siłą jedna myśl poruszy
I razem złączy, jak ludzkość dziewiczą
Kiedyś łączyły ognie jednej duszy,
Wy się boicie, wielcy, urodzeni...
Ale czy wiecie, co przyszłość przyniesie,
W jaki krajobraz „jutro" się odmieni,
W jakim życiowym skąpie się procesie?...
Otwórzcie dawne karty dziejów świata,
Gdzie krwawa ludów epopeja żyje,
Gdzie walk tysiące — tysiąc ludów splata
I w prochu tysiąc głów koronnych gnije,
A tam poznacie, że do wielkiej myśli
Przez krew i walkę ludzkość zawsze idzie,
A ci co u nóg jej głazem zawiśli,
Zginęli w kłamstwie hańbie i ohydzie!
Bo cóż? Czy wiecie, wy, wielcy, szlachetni,
Co nam przyniesie Nemezys dziejowa?
Czy czoła wasze laurami uwietni,
A życie wasze od zguby zachowa?
Czy może ponad waszymi skarbami
Miliony biednych do czynu powoła,
I taki ogień potężny rozpali
I takie piekło rozhukanej fali,
Że całą ziemię zaleje krwią, łzami,
Przez rewolucyi mściwego Anioła,
Obudzi Polskę wolną... wielką... całą!
Wy się boicie, bo w tej strasznej chwili
Dla was powietrza w płucach by nie stało,
Bo wyście tyle... tyle zawinili,
Że ognia gromu nawet dla was mało!..

O konstytucyi 3-go maja.

Część I.

(Historya ustroju Polski).

Wiedząc, jak niedbale historya Polski jest wykładana w szkołach galicyjskich i wychodząc z założenia, że historya każdego narodu jest przedewszystkiem historyą jego wewnętrznego rozwoju, historyą przeobrażeń w jego ustroju prawno-politycznym, nie zaś opowiadaniem o wojnach i dynastyach, uważam za niezbędne, zanim przystąpię do historyi konstytucyi 3-go maja, podać na tem miejscu w streszczeniu*) historyę ustroju Polski.

Prof. Balcer historyę ustroju Polski, od czasów przyjęcia chrześcijaństwa do sejmu czteroletniego, dzieli na 3 okresy;**) w końcu trzeciego okresu widzi już zawiązek okresu czwartego.

P i e r w s z y o k r e s (od r. 963 do początku XIII w.) nazywa okresem p r a w a k s i ą ż ę c e g o (ius ducale). W tym okresie szlachta jeszcze nie wyodrębniała się, jako oddzielny stan; społeczeństwo jest jeszcze bardzo mało zróżniczkowane; żadna warstwa społeczna nie ma autonomii w załatwianiu swych spraw wewnętrznych, lecz podlega bezpośrednio księciu i urzędnikom książęcym, bezpośrednio od księcia zależnym; książę ma władzę prawie despotyczną i uważany jest za właściciela całego kraju.

Od początku XIII w. (1211—15) następuje zasadnicza zmiana w ustroju a z nią rozpoczyna się d r u g i o k r e s. Społeczeństwo rozpada się na kilka stanów, których zawiązki istniały już w poprzednim okresie: na duchowieństwo, szlachtę, mieszczaństwo i włościaństwo czyli kmieci. Z wyjątkiem ostatniego, który u nas, jak również i gdzieindziej, nie otrzymał teraz jeszcze praw, organizują się tamte trzy stany w zamknięte sobie całości, zaopatrzone w prawa i przywileje. Społeczeństwo wyzwala się z pod przewagi władzy książęcej; każdy z tych stanów zyskuje pełny samorząd w swych sprawach wewnętrznych, nawet i włościanie mają samoistność pod względem sądownictwa. Jest to o k r e s s a m o r z ą d u s p o ł e c z n e g o s t a n ó w, który sięga od XIII w. do początku XVI w.

T r z e c i o k r e s od końca XV w. lub

---

*) Podług wykładów prof. Dra Balcera i rozprawki tegoż autora: „Reformy społeczne i polityczne konstytucyi trzeciego maja" Kraków 1891.

**) Okresem historyi ustroju jakiegoś kraju zowiemy czas, w którym nie spostrzegamy wielkiej zmiany w ustosunkowaniu się sił społecznych; z chwilą, gdy staje się widoczną z a s a d n i c z a z m i a n a w ustosunkowaniu się sił społecznych, następuje n o w y o k r e s.

początku XVI t. z. „Rzeczypospolitej szlacheckiej“ kończy się przed ogłoszeniem konstytucyi 3-go maja. Jest to okres panowania szlachty nad innymi stanami, pozbawionymi na rzecz szlachty znacznej części swych praw.

Zmiana w systemie gospodarczym, spowodowana dążeniem ekonomicznem szlachty, była głównym i panującym czynnikiem w tym okresie — a więc przyczyną ograniczenia lub zniesienia przywilejów innych stanów na rzecz szlachty.

W poprzednim okresie wartość majątku ziemskiego zależała głównie od sumy czynszów, uiszczanych panu przez kmieci. Gospodarstwo rolne, przez samych panów prowadzone, t. zw. gospodarstwo folwarczne, było tylko podrzędnem źródłem dochodu dla dziedzica, który produkował zboże tylko na własny użytek, a nie na sprzedaż.

W tym stanie rzeczy nastąpiła w XV w. ważna zmiana.

Szlachta polska, kolonizująca Ruś Czerwoną, przekonała się po raz pierwszy, uprawiając zboże na żyznej i urodzajnej glebie, o korzyściach, jakie można osiągnąć oddając nadmiar wyprodukowanego zboża na sprzedaż. Kiedy zaś pokój toruński z r. 1466 przez przyłączenie Prus królewskich oddał w ręce Polski oba ujścia Wisły, otworzyła się przez Bałtyk i Wisłę bezpośrednia komunikacya z Zachodem i wielki rynek zbytu na nasze zboże.

Oczywista, że z chwilą, gdy otworzyły się szerokie rynki zbytu na zboże polskie, szlachta już nie ogranicza się produkowaniem zboża na własne potrzeby, na małym kawałku swego gruntu, lecz dąży do rozszerzenia produkcyi zbożowej, by wytwarzać jak najwięcej zboża na sprzedaż. Szlachta stara się przeto skupić w swem ręku jak najwięcej gruntu.

To rozszerzenie się gospodarstwa folwarcznego pociągnęło za sobą ważne następstwo w sferze stosunków włościańskich. Grunta, zjednoczone w ręku pana, potrzebowały do uprawy rąk roboczych; nieliczna czeladź już nie mogła wystarczyć do uprawy zwiększonych obszarów ziemi pańskiej, a najemnika nie można było znaleść w obec rzadkiego w owych czasach zaludnienia; nie pozostało więc nic innego, jak tylko przymusić kmieci mieszkających po wsiach do uprawy gruntów folwarcznych. W ten sposób powstała u nas pańszczyzna.

Pańszczyzna dla kmiecia była niekorzystną pod względem materyalnym, bo odrywała go częściowo od pracy na własnej roli, ale bardziej jeszcze doniosłe znaczenie miała ona dla niego pod względem prawnym, stanowiąc pierwszy ważny wyłom tej względnej wolności osobist j, jakiej kmieć dotychczas używał.

Z powstaniem pańszczyzny, która zmuszała kmieci jeden dzień w tygodniu albo więcej pracować na gruncie pańskim dla pana, tem korzystniej było dla pana, im we wsi więcej było ludzi, im więcej było rąk do pracy. Stąd dążność pośród szlachty, ażeby prawo wychodźtwa kmieci jak najbardziej ograniczyć. Dążeniom szlachty stało się zadość: na mocy ustawy z r. 1532 żadnemu chłopu nie wolno ruszyć się ze wsi bez zezwolenia pana; chłop przez to został przywiązany, przypisany do gleby glebae adscriptus; upadła zatem do szczętu średniowieczna swoboda kmiecia.

W poprzednim okresie*) kmieć miał swoje autonomiczne niezależne sądownictwo z sołtysem na czele i miał prawo o krzywdę, wyrządzoną mu przez pana, upomnieć się przed sądem publicznym.

W tym okresie upadło samoistne sądownictwo wiejskie, a na miejscu jego wytworzyło się sądownictwo t. zw. patrymonialne, prywatne, wykonywane przez pana, jako takiego nad poddanym. Od wyroku pana nie było apelacyi i chłop nie miał prawa pozywać pana przed sąd publiczny.

Położenie poddanych królewskich było nieco znośniejsze, gdyż ci przeciw swoim panom, t. j. starostom i dzierżawcom mogli szukać sprawiedliwości w sądach asesorskich albo referendarskich.

Wraz z rozszerzaniem gospodarstwa folwarcznego szlachta dążyła nietylko do ujarzmienia chłopa, ale równocześnie do zabezpieczenia się przed konkurencyą mieszczan, przez pozbawienie tych ostatnich lub ograniczenie różnych przywilejów i uprawnień.

Kiedy dawniejsze gospodarstwo po wsiach

---

*) Położenie prawne i ekonomiczne chłopa w poprzednim okresie w Polsce było niewątpliwie lepsze, niż gdzieindziej. Patrz Balcer Reformy społeczne i polityczne konstytucyi 3-go maja. str. 5—7 i Wykłady „Skrypta“.

zaczęło się przemieniać w gospodarstwo folwarczne, kiedy otworzyły się widoki rozwinięcia handlu zbożowego na wielką skalę, mieszczaństwo, rozporządzajace kapitałem, którego nie miała szlachta, mogło w wielkiej masie rzucić się do zakupna dóbr ziemskich, w dobrach tych zaprowadzić produkcyę rolną na wielką skalę i w ten sposób stworzyć niebezpieczną konkurencyę szlachcie, zaczynającej zaledwie produkować w większej ilości zboże na sprzedaż. Zazdrosna o to szlachta czuła konieczność przecięcia drogi niebezpiecznej dla niej konkurencyi mieszczaństwa i oto, jako wynik jej usiłowań pojawia się na sejmie w r. 1396 zakaz, ponawiany póżniej niejednokrotnie, a zwłaszcza z całą stanowczością w r. 1438, zakaz nabywania dóbr ziemskich przez mieszczan, połączony z nakazem wysprzedania dóbr ziemskich, jakie dotąd mieszczanie posiadali.

Mieszczaństwu pozostawał jeszcze handel i przemysł miejski. Miasta miałyby jeszcze dość warunków pomyślnego rozwoju, gdyby szlachta nie zaczęła była wtrącać się w sprawy wewnętrzne miast.

Główną przyczyną upadku miast była ta okoliczność, że mieszczaństwo nie miało swoich przedstawicieli w rządzie i w ciałach ustawodawczych, skutkiem czego uchwalano ustawy o miastach bez udziału miast i na niekorzyść miast. *)

W o l n o ś ć o d c e ł, przyznana szlachcie ustawami z r. 1496 i 1507 przyczyniła się do upadku ruchu handlowego w miastach polskich.

Zwolnienie celne, dane p r o d u k t o m w y w o z o w y m przez szlachtę, (głównie zboże) powodowało, że szlachta mogła je taniej sprzedawać, aniżeli mieszczaństwo, które takiego zwolnienia nie posiadało; stąd poszło, że cudzoziemcy niechętnie zawierali interesa z mieszczanami. Zwolnienie zaś szlachty od opłaty ceł za t o w a r z a g r a n i c z n y, sprowadzany dla własnej potrzeby, wytrąciło z ręki mieszczaństwa h a n d e l p r z y w o z o w y.

Szlachta zabiła handel wywozowy polski i przemysł, przeprowadziwszy na sejmie z r. 1565 i ponownie w r. 1629 postanowienie, że kupcom polskim towarów miejscowych zagranicę wywozić nie wolno. To szkodliwe postanowienie było wywołane nieuzasadnioną obawą, że przez wywóz towarów z Polski podniosą się w Polsce ceny; zapominano, że wywóz produktów przemysłowych przyczyniłby się tylko do wzrostu produkcyi, a nie do wzrostu cen.

Szlachta w swej egoistycznej polityce ekonomicznej dbała o to, by ceny za towary, produkowane w miastach, były minimalne. Stąd ustawy z XV w. postanawiają, że miary, wagi i ceny towarów w miastach mają być peryodycznie ustanawiane przez starostów lub wojewodów i innych urzędników ziemskich. Był to cios zabójczy dla przemysłu polskiego.

Najgorszem dla miast było pozbawienie ich autonomii, przez ścieśnianie samorzadu, ograniczenie sądownictwa i oddanie miast pod kontrolę, a co za tem idzie pod władzę starostów.

Ustawami z lat 1565 i 1567 miasta zostały zmuszone do zdawania rachunków staroście, który przez to otrzymał prawo do wtrącania się w s p r a w y w e w n ę t r z n e miast. Słusznie zauważył ks. Kalinka, że starosta gorszym był nieprzyjacielem miast od Kozaka i Szweda.

Więcej niż stan miejski mógłby być niebezpiecznym współzawodnikiem szlachty stan duchowny, rozporządzający ogromnemi dobrami, licznymi przywilejami i stojący wyżej od innych stanów pod względem oświaty.

Nie czując się na siłach zwalczyć duchowieństwo, szlachta stara się je zeszlachcić i dopięła tego w ten sposób, że dostęp do wyższych godności w kościele zamknęła nieszlachcie. Wyższe duchowieństwo to, które w sprawach państwa udział znaczniejszy brało, w kościele rząd prowadziło i na duchowieństwo niższe stanowczo wpływało, zostało zupełnie zeszlachcone. *)

Szlachta walcząc o wywyższenie się przed innymi stanami pod względem ekonomiczno-społecznym, nie przeoczała o g r o m n e g o z n a c z e n i a, j a k i e m a z d o b y c i e w p ł y w u n a p r a w o d a w s t w o i z a g a r n i ę c i e w s w e r ę c e w ł a d z y p a ń s t w o w e j.

*) Ciężko odpokutować musiało mieszczaństwo za swoją krótkowidzącą politykę w stadyum tworzenia się sejmów, gdyż miało wtedy możność zapewnienia sobie w nich udziału, a nawet było do tego powoływane przez króla.

*) Nie był to tylko przypadek, że w sejmie polskim r e p r e z e n t a c y a d u c h o w i e ń s t w a nie s t a n o w i ł a o s o b n e g o c i a ł a, osobnego kolegium, jak np. we francuskich stanach generalnych.

Dążenia polityczne szlachty zostały osiągnięte w tym okresie.*)

Zgromadzone na polach Nieszawy 1454 r. pospolite ruszenie rycerstwa, pod groźbą rozejścia się do domów, wymogło na królu przywilej, w którym znalazło się postanowienie, że król na przyszłość ani nowych praw stanowić, ani ziemian na wyprawę wojenną ruszać nie będzie bez zwołania sejmików w poszczególnych ziemiach.

W organizacyi sejmowej z r. 1505 (ustawa radomska) postanowiono, że król nowych ustaw stanowić nie będzie bez wspólnego przyzwolenia senatu i izby poselskiej (delegatów sejmików).

W skład sejmu weszły trzy czynniki: król, senat i izba poselska.

Izba poselska nie była izbą parlamentarną w znaczeniu dzisiejszem, lecz kongresem pełnomocników (t. j. delegatów sejmikowych, posłów) kilkudziesięciu jakoby państewek (ziem), gdyż poseł wybrany przez sejmik do izby poselskiej był uważany za przedstawiciela tylko swojej ziemi i nie miał prawa odstąpić od instrukcyi, wydanej przez sejmik, na którym został obrany. W tej organizacyi izby poselskiej tkwiła już zasada liberum veto, która jednak do połowy XVII w. nie była stosowaną.

W organizacyi państwa polskiego przeważała zasada decentralizacyi.

Rzeczpospolita składała się z dwóch prowincyi, Korony i Litwy, z których każda miała dla siebie osobny rząd, osobny skarb, osobne wojsko i osobnych urzędników wielkich, stojących na czele poszczególnych gałęzi administracyi. Każda prowincya składała się z kilkudziesięciu odrębnych całości, tylu, ile było województw lub ziem, z których każda dążyła do zagarnięcia znacznej części atrybucyi rządowych dla siebie. Około połowy XVII w. istnieją już osobne podatki wojewódzkie, osobny skarb wojewódzki, osobna administracya, zależna od sejmików; istnieje dalej osobny żołnierz powiatowy, utrzymywany ze skarbu wojewódzkiego, pod osobnymi rotmistrzami, przez sejmiki ustanawianymi. Władze sądowe wojewódzkie nie są to władze jednostkowe, ani nawet kolegialne w zwykłem tego słowa znaczeniu z kilkudziesięciu członków złożone, ale cały sejmik, wszystka szlachta ziemi, setki i tysiące ludzi.

Taki ustrój państwowy w zasadzie bardzo idealny, był jeszcze przedwczesny, niepraktyczny i przyczyną słabości rządu.

W Polsce istniało idealne wszechwładztwo ludu, jeżeli pod słowem „lud“ rozumiemy szlachtę.

Szlachcic polski był sobie panem; nikt mu nie śmiał wbrew jego woli rozkazywać i cieszył się idealną swobodą.

Gdyby te swobody, jakie miała szlachta, nie były jej wyłącznym monopolem, ale udziałem całego narodu*) i gdyby cały naród stał wysoko pod względem oświaty, Polska nie upadłaby i potrafiłaby stawić czoło sąsiadom, mającym scentralizowany i silny rząd despotyczny.

Reformy sejmu czteroletniego dowodzą, że Polska zrobiła już pierwszy krok (pierwszy krok najważniejszy, bo wskazuje kierunek) na drodze do usamowolnienia niższych klas i dania im praw człowieka.

Konstytucya 3-go maja ma przeto epokowe znaczenie w dziejach Polski i od niej zaczyna się nowy okres w dziejach Polski. (Dok. nast.)

St. G.

Nauka historyi polskiej
w szkołach średnich.

Jednym z najbardziej po macoszemu traktowanych przedmiotów, wykładanych w szkołach średnich, jest nauka historyi Polski, urzędownie t. zw. historya kraju rodzinnego. Dziwnym wypadkiem przedmiot, który się zajmuje najdroższemi rzeczami dla każdego

---

*) Rozwój instytucyi parlamentarnych w Polsce nie da się streścić w paru wierszach; historyi Sejmu i Sejmików w Polsce poświęcimy w „Promieniu“ osobny artykuł, gdzie tę kwestyę postaramy się przedstawić jasno i popularnie. Polecamy tymczasem broszurę prof. Kariejewa „Historya Sejmu polskiego“.

*) Źle było w Polsce, że poszanowanie praw jednostki i wolność były monopolem jednej tylko warstwy, lecz stokroć gorzej byłoby dla tradycyi wolnościowych i wyrobienia się poczucia godności osobistej, gdyby wszyscy bez wyjątku byli niewolnikami — wszyscy równi przed knutem. Jest pewna analogia pomiędzy ustrojem Polski i Grecyi starożytnej, a z drugiej strony Rosyi i wschodnich despotyi. Rousseau i Nitsche rozumieją to i dlatego wybitny indywidualista Nitsche szczyci się, że w żyłach jego płynie krew polska

narodu, bo własnemi dziejami i własnym krajem, zamiast być traktowanym z czcią i pietyzmem, postawiony jest na ostatnim planie. I tak w programie gimnazyalnym łacinie poświęcono w niższych klasach godzin 8, w wyższych 6, grece 6 i 5, j. niemieckiemu taksamo, i to we wszystkich 8 klasach, historya zaś kraju rodzinnego jest umieszczona jako przedmiot nadobowiązkowy, z jedną godziną na tydzień przez 4 półrocza. Po odliczeniu jeszcze godzin, odpadających z powodu świąt rozmaitych, feryi Bożego narodzenia, Wielkanocy i t. d. dostaniemy zaledwie kilkanaście godzin na kurs. I w tym przeciągu czasu ma być wyczerpany przedmiot, obejmujący historyę kilkunastu wieków, dzieje wzrostu, rozkwitu i upadku całego narodu. Nic dziwnego, że to się nie da zrobić, mimo najszczerszych chęci, bo profesor chcąc podać choć jaki taki całokształt uczniom, musi brać prędko i pobieżnie, byle tylko wtłoczyć wszelkiemi siłami przedmiot w te ciasne ramy.

Najbardziej jednak demoralizuje to, że historya Polski jest przedmiotem nadobowiązkowym, nie wpływającym na ogólny wynik klasyfikacyi, czem już z góry upoważnia się i profesora i ucznia do lekceważenia przedmiotu. Tak się też po większej części dzieje; profesor lekceważąc przedmiot, wybiera bardzo często godzinę popołudniową lub rano w niedzielę, uczeń z góry wiedząc, że nie bardzo się przestrzega, czy on będzie, czy nie, nie przychodzi na wykład, a przyszedłszy prawie zawsze zajmuje się czem innem. Taksamo nieraz i profesor, jeżeli równocześnie uczy w tej samej klasie historyi powszechnej albo literatury, to uzupełnia to, czego nie zdążył wziąć na godzinie urzędowej — w godzinach przeznaczonych na naukę historyi polskiej. Ale nawet przy najlepszych chęciach i dobrej woli ze strony nauczyciela, nie może on wiele nauczyć, bo czasu nie staje. Chcąc np. w liczniejszej klasie choć raz na kurs wszystkich wypytać, musi na to poświęcić więcej niż połowę godzin, na czem oczywiście traci właściwa nauka.

Drugą przyczyną złego są zupełnie nieodpowiednie podręczniki. Autor piszący historyę, chcąc uzyskać aprobatę Rady szkolnej, musi swą pracę zabarwiać pokostem, całkiem niepotrzebnym — nieraz to się dzieje umyślnie i z dobrej woli i wtedy, szczególnie w historyi ostatnich lat, bohaterami i wielkimi stają się przyjaciele partyjni, chwilą przełomową dla narodu jest przyjazd cesarza lub któregoś z arcyksiążąt do kraju. Panowanie Józefów i Ferdynandów jest erą błogosławioną, a o powstaniach zaledwie się wspomina, żeby nie budzić szowinizmu narodowego i ducha rewolucyjnego. Dowodem, że tak patryotycznie i rozumnie napisana książka, jak historya Józefa Chociszewskiego, została rozporządzeniem Rady szkolnej surowo zabronioną (w szkołach wydziałowych), a zamiast niej wprowadzono „lojalną“ historyę Pieniążka.

Przeciwko takiemu postępowaniu powinni jak najostrzej zaprotestować nauczyciele i rodzice i wprost zażądać od Rady szkolnej zmiany godzin i podręczników. Minęły te czasy, kiedy musieliśmy się bronić wszelkiemi siłami przed zakusami germanizacyjnymi, kiedy musiano nazwać historyę Polski, historyą kraju rodzinnego, bo inaczej posądzano zaraz o antipaństwowe i antidynastyczne tendencye. Rada szkolna wprawdzie sama odczuwa, że czasy się zmieniają, bo w nowym projekcie reformy szkół realnych „krajówka“ jest przedmiotem obowiązkowym, dzieje się to jednak, jak zwykle u nas, tak wolno, że niejedno jeszcze pokolenie wyrośnie, nim się stosunki zmienią na korzyść, a że podręczników Rada sama nie zmieni, to samo się przez się rozumie.

Tymczasem jednak te braki podręczników i zły system uczenia może i powinna młodzież sama powetować. Samokształcenie się jest ogromną dźwignią i olbrzymią pomocą w rozwoju duchowym człowieka. Sądzimy, że Was Koledzy do pracy w tym kierunku nie trzeba zachęcać, że sami rozumiecie i czujecie, czem jest historya własnego narodu dla każdego człowieka, że poznać ją jest pierwszym i najświętszym obowiązkiem każdego. Zajmując się zaś naszymi dziejami, badając te tak piękne i wspaniałe, jak również smutne i bolesne chwile w dziejach, powinniście szczególniejszą uwagę poświęcić historyi ostatnich stu lat. Są one niewyczerpanem źródłem i skarbnicą wszystkich cnót narodowych. Tam się spotkacie z ludźmi idei, wykutymi z bronzu i ze stali, umiejącymi wszystko poświęcić dla ojczyzny, z ideałami tak wysoko moralnie stojącymi, że my jesteśmy karłami wobec nich. I te bohaterskie zapasy ujarzmionego narodu z prze-

mocą dziesięćkrotnie go przewyższającą wspanialsze są i godniejsze uwagi niż walki Greków z Persami i więcej tam znajdziecie Leonidasów, niż cały świat starożytny naliczyć ich może. Te idee, w imię których toczono tyle lat walki a zwłaszcza idee przewodnia z 1863 roku: wolności, równości i braterstwa, uświadomienia i podniesienia ludu wsiąkną tak w was, tak was podniosą i uszlachetnią, że z odrazą będziecie patrzeć na to, co płaskie i niskie, dążyć będziecie wysoko i ogarniać „całe ogromy“.

W sprawie samokształcenia.

II.

Jednym z kardynalnych błędów naszego szkolnictwa jest to, że szkoła zrzeka się nawiązywania nici pomiędzy nauką a życiem bieżącem.

W każdym podręczniku pedagogicznym tyle razy mówi się o tem, że nauczyciel powinien być również wychowawcą; jednocześnie zaś wzbrania się najsurowiej nauczycielom potrącać o czasy najnowsze i kwestye bieżące. W tym duchu są ułożone podręczniki historyi i literatury. W jednym z tych ostatnich uwzględniono ze współczesnych pisarzy jednego jedynego Sienkiewicza! A cóż może dać materyał właściwszy do wychowania moralnego w szkole, jak literatura, w której znajduje się odbicie współczesnego życia.

Wspaniałym jest Leonidas spartański, podziwu godzien Horacyusz Kokles i bezwarunkowo cennem jest to szlachetne wzruszanie, które podnosi pierś młodzieńca, gdy ten czyta dzieje bohaterskich Greków i Rzymian, — ale czy nie byłoby korzystniejszem, aby nauczyciel zwrócił się od czasów minionych ku współczesności i wskazał takich bohaterów, jak chłop Ślimak w walce o ziemię, jak postaci ze szkiców Szymańskiego, z „Nad Niemnem“ Orzeszkowej i t. p.? A śmiało możemy powiedzieć, że niema obecnie literatury powieściowej, bardziej bogatej w obrazy z życia narodowego, w zagadnienia społeczne, ekonomiczne, religijne, etyczne, jak współczesna literatura polska. I z pewnością odpowiednie traktowanie współczesnej powieści w szkole o wiele więcej oddziałałoby na wyrobienie u młodzieży sądu o życiu, na czynny stosunek do tegoż, niż szczegółowy rozbiór poglądów na życie Reya lub Kochowskiego.

Z drugiej strony usuwanie z podręczników literatury utworów nowych pisarzy nie osiąga swego celu: młodzież czyta te utwory, czyta bez wyboru, częściej złe, niż dobre. Nikt jej przecież nie nauczył odszukiwać tego, co zajmujące i dobre, choć odziane w szatę, niezbyt powabną.

Bo gdybyż to można było młodzież od świata murem chińskim odgrodzić, aby tylko to czytała, co się jej w szkole da, lub poleci! Dzieje się wprost przeciwnie.

Powodowani wyłuszczonym brakiem naszego szkolnictwa, próbujemy przedstawić poniżej zestawienie utworów literatury polskiej, i zagranicznej, przeważnie współczesnej dla użytku naszych czytelników. Kierujemy się tu jedynie chęcią przedstawienia wszelkich zagadnień życia bieżącego jakie w utworach pięknych odbicie swe znalazły.

Przedewszystkiem więc polecamy te rzeczy, których tematem jest młodość, wiek szkolny.

Dygasiński — „W Kielcach“, „Nr. 607“, „Ćwieki w głowie“.
Daudet — „Jack“.
Feldman — „Nowi ludzie“.
Kosiakiewicz — „Nasz mały“.
Prus — „Grzechy dzieciństwa“.
Sabowski — „Nad poziomy“.
Orzeszkowa — „Zygmunt Zawisza i jego koledzy“.
Sienkiewicz — „Hania“, „Stary sługa“.
Żeromski — „Doktor Piotr“.
Zych — „Syzyfowe prace“.
Żmudzki — „Bór“.

Utwory, w których głównym motorem działalności jest **uczucie miłości ojczyzny, ideały narodowościowe:**

Poezya emigracyjna.

Asnyk — „Emisaryusz“, „Bracia Lerche“.
Bolesławita — „Tułacze“, „Dziecię starego miasta“, „Emisaryusz“.
Daudet — „Opowiadanie z wojny 1870—71“.
Elpidon — „Starzy i młodzi“, „Alkadar“.
Gruszecki — „Szarańcza“.
Hugo — „Rok straszny“.
Jeż — „Za gwiazdą przewodnią“, „Narzeczona hasan-baszy“ i wiele innych.
Kraszewski — „Czarna godzina“.

**

Kaczkowski — „Rycerze św. Klary“.
Prus — „Powracająca fala“, „Placówka“.
Rawita — „Obca krew“.
Rodziewiczówna — „Anima vilis“.
Sienkiewicz — „Bartek zwycięzca“, „Z pamiętników nauczyciela poznańskiego“.
Szymański — „Szkice“ tom I. i II.
Sieroszewski — „W matni“, „Na kresach lasów“, „Risztau“.
Urbanowska — „Wszechmocni“.
Zych — „Rozdzióbią nas kruki, wrony“.
Zmogas — „Pożary i zgliszcza“.

Utwory, gdzie roztrząsane są **współczesne zagadnienia społeczno-ekonomiczne:**

Bałucki — „O kawał ziemi“.
Gawalewicz — „Drugie pokolenie“.
Kosiakiewicz — „Bawełna“.
Kraszewski — „Roboty i prace“, „Resurecturi“.
Jeleńska — „Panienka“.
Kaczkowski — „Rozbitek“.
Jeż — „Dyplomacya szlachecka“, „Historya o pra-prawnuku“.
Gruszecki — „Tuzy“, „Krety“.
Junosza — „Syzyf“.
Orzeszkowa — „Nad Niemnem“, „Bene Nati“, „Australczyk“, „Dwa bieguny“, „Pompalińscy“.
Rogosz — „Choroby Galicyi“.
Reymont — „Obiecana Ziemia“.
Sewer — „Nafta“, „Walka o byt“.
Prus — „Lalka“.
Zyliński — „Jakób Warka“.
Świętochowski — „Aureli Wiszor“.
Hugo — „Nędznicy“. „Rok 93“.
Galasiewicz — „Wspólne winy“.

Utwory, których głównym tematem jest **życie ludu wiejskiego lub miejskiego:**

Dąbrowski — „Felka“.
Dygasiński — „Nowele i opowiadania“.
Jeż — „Wasyl Hołub“, „Handzia Zahornicka“, „Szandor Kowacz“ i inne.
Kraszewski — „Chata za wsią“, „Ulana“, „Ostap Bondarczuk“ i wiele innych.
Konopnicka — Nowele i opowiadania.
Junosza — „Antropologia wiejska“ i inne.
Kasprowicz — Poezye.
Korzeniowski — „Karpaccy górale“.
Niemojowski — „Listopad“.
Niedźwiedzki — Nowele.
Orzeszkowa — „Niziny“, „Dziurdziowie“, „Cham“.
Ostoja — Nowele.
Sienkiewicz — „Szkice węglem“.
Prus — „Placówka“.
Reymont — „Śmierć“.
Rodziewiczówna — „Hrywda“.
Sewer — „Matka“, „Biedronie“, „Zalotnica“.
Zapolska — „Kaśka Karyatyda“.

Kwestya żydowska:

Gawalewicz — „Mechesy“.
Gruszecki — „Szachraje“.
Bałucki — „Żydówka“.
Junosza — „Pająki“, „Czarne błoto“ i inne.
Jeż — „Urocza“.
Feldman — „Żydziak“.
Korzeniowski — „Żydzi“.
Orzeszkowa — „Meir Ezofowicz“, „Eli Makower“.
Sewer — „Zyzma“.

Kwestya kobieca:

Kraszeuski — „Resurecturi“.
Jeleńska „Panienka“.
Dąbrowski — „Felka“.
Orzeszkowa — „Marta“, „Dwa bieguny“.
Prus — „Emancypantki“.
Świętochowski — „Regina“.
Zapolska — „Przedpiekle“, „Janka“.
Święcicki — „O własnej sile“.
Szeliga — Powieści.

Wolność sumienia i zagadnienia etyczne:

Zalewski — „Jak myślicie?“.
Orzeszkowa — „Na dnie sumienia“, „Ascetka“.
Żmudzki — „Bór“.
Hugo — „Nędznicy“.
Rawita — „Z domu niewoli“.
Dostojewski — „Zbrodnia i kara“.
Okoński — „Niewinni“.
Zych — „Poganin“, „Do swego Boga“.
Sienkiewicz — „Pójdźmy za nim“, „Quo vadis“.
Świętochowski — „Ojciec Makary“.

Kwestye polityczne:

Lam — „Dziwne karyery“, Głowy do pozłoty“, „Wielki świat Capowic“.
Sienkiewicz — „Na jedną kartę“.

Lubowski — „Osaczony“.
Bałucki — „Burmistrz z Pipidówki“.
Zacharjasiewicz — „Wybór posła“.
Sewer — „Zasady i czyny“.
Rogosz — „Dzisiejsi bohaterowie“, „Motory życia“.

Oczywiście indeks powyższy nie zawiera wszystkich utworów belletrystycznych, nie jest kompletny. Brakuje tu np. dzieł historycznych, ale powtarzamy, że mieliśmy na względzie tylko życie współczesne.

J. B.

Szkolnictwo polskie w zaborze rosyjskim.

(Na tle powieści Zycha „ yzyfowe prace“.)

Syzyfowemi pracami są rusyfikacyjne prace rządu moskiewskiego, podejmowane w Królestwie polskiem. Wykazuje to Maurycy Zych w powieści swojej p. n. „Syzyfowe prace“, opisującej stosunki szkolne w zaborze rosyjskim.

Nie będziemy się tu zatrzymywali nad artystycznemi pięknościami, w które książka ta obfituje, że wskażemy tylko opis nocnej podróży p. Borowiczowej z synem, lub wspaniałą scenę deklamacyi Zygiera, lub też kilka przepysznych kart końcowych, poświęconych opisowi miłości Marcina i Anny.

Zastanówmy się tedy bliżej nad społeczną stroną powieści, tą stroną właśnie, która stanowi cechę jej najwybitniejszą i nadaje jej pierwszorzędne znaczenie.

Otóż społeczne znaczenie tej książki polega przedewszystkiem na nadzwyczajnie wiernem odrysowaniu warunków szkolnych w Królestwie, a następnie na wyciągnięciu stąd odpowiednich konsekwencyj, z których jedne w naturalnym biegu wypadków znajdujemy w samej książce, inne zaś rodzą się w mózgu myślącego czytelnika.

Każdy, kto przebył szkołę rosyjską, przyzna niewątpliwie, że Zych z iście fotograficzną dokładnością a zarazem z artystycznem odczuciem przedstawił tamtejsze stosunki. Każdy z wychowańców tych szkół, gdziekolwiek je kończył, poszukawszy dobrze we wspomnieniach, znajdzie niewątpliwie i odtworzy sobie w myśli szereg faktów oraz szereg typów dawnych swoich profesorów, w zupełności odpowiadających faktom i typom, wprowadzonym przez Zycha.

I ten pozorny paradoks stanie się dla nas zupełnie zrozumiałą prawdą, gdy pojmiemy, że ci pedagogowie to nie są — a przynajmniej w stosunku do uczniów swych nie występują — jako ludzie żywi i indywidualni, każdy czujący i myślący po swojemu, lecz że są to jakby kółka jednakowych rozmiarów, stanowiące odpowiednie sobie części wielkiej machiny państwowej, że są to maryonetki, odziane w mundur urzędniczy, ślepo słuchające instrukcyj z góry płynących, a przepojone szlachetnem poczuciem, że mają do spełnienia wielkie zadanie dziejowe — rusyfikacyę tych „obcoplemiennych“ dzieciaków i niedorostków, którzy w wyrodnej krwi swojej po dziadach odziedziczone snać noszą zarodki tej potwornej, wiecznie żyjącej hydry, „polskiej intrygi“.

Wszystkich pedagogów, wysyłanych przez rząd dla rusyfikowania młodzieży polskiej w „zachodnich guberniach“ — podzielić można na trzy kategorye. Do pierwszej należą ludzie rozumni, wykształceni, wielcy politycy, pragnący jaknajmądrzej wywiązać się z zadania, jakie na posterunkach swych mają do wypełnienia. Przedstawicielami tej grupy w powieści Zycha są: naczelnik dyrekcyi naukowej, Jaczmieniew, marzący o zaszczepieniu chłopom polskim cywilizacyi zachodniej zapomocą knuta carskiego, należą tu także inspektor Zabielskij, dyrektor Kriestoobriadnikow. Z ich dyplomatycznej skóry wyłazi jednak od czasu do czasu nieociosana moskiewska dusza — np. l i b e r a l n y Kriestoobriadnikow, dowiedziawszy się o występku „buntującego“ katolika Waleckiego, zapomniał na razie o polityce i wcale niepolitycznie zaczął krzyczeć, bijąc pięściami w ławki: „A to co? Bunt? Bunt? Bunt? Ja was nauczę. W tej chwili won cała klasa. Won!“... Druga grupa, której przedstawicielem jest „wulgarny“ rusyfikator, Kostriulew, rekrutuje się przeważnie z ludzi prostych, grubiańskich, miłujących całem sercem swoją „matuszkę — Rossyę i batiuszkę — cara“, nienawidzących całą swą niewolniczą istnością polskiego ducha buntowniczego... Do trzeciej wreszcie kategoryi należą rozmaici Polacy, na służbie moskiewskiej zostający, w rodzaju matematyka Nogackiego, któremu dusza wyschła w liczbach, lub podłego renegata i szpiega — Majewskie-

go. Na uboczu stoją takie typy, jak Leim, stara resztka dawno minionej przeszłości, weteran ze szkół wojewódzkich,—lub anemiczny Sztetter, któremu życie, jak złośliwa pijawka, wyssało wszystką krew z serca i wszystkie soki z nerwów.

Przechodząc z rąk do rąk tych wychowawców różnego gatunku — pod ich opiekuńczem skrzydłem rozwija się umysł i charakter polskiego dziecka, Marcina Borowicza. Żych i tutaj wziął sobie za zadanie nie opisywać żadnych wyjątków — bohaterów ni wyrodków — lecz dla lepszej charakterystyki stosunków przedstawić typ przeciętny a prawdziwy.

Marcin jest synem niebogatego szlachcica. Z rodzinnego domu, z otoczenia filistrów — nie wynosi on żadnych tradycyj patryotycznych, ani tembardziej — rewolucyjnych. Pierwsze jego dzieciństwo przypadało właśnie na czas największego upadku ducha w naszem społeczeństwie i najbujniejszego rozkwitu ugody... „Jego przekonania polityczne“, w wieku lat już 14—15-tu, „były mdłym odgłosem nauk radcy Somonowicza i echem goryczy ojca, który w powstaniu stracił fortunę pradziadowską, nasiedział się w więzieniach i doznał krzywd od wodzów rewolucyi“.

Ten dziki jeszcze, jałowy dotąd grunt duszy chłopca dostał się pod uprawę troskliwemu o dobro swych wychowanków „szkolnemu naczalstwu“. Z początku — niby przygrywkę do wspaniałej symfonii—podaje autor opis elementarnej szkółki wiejskiej i przedstawia czytelnikowi stadko małych obywateli wsi Owczary, pozostających pod światłem przewodnictwem „prefesura“ Wiechowskiego, któremu dusza w pięty uchodzi pod moralnym naciskiem „naczelnika“ Jaczmieniewa.

Tu jednak, jak piłka od ściany, tak od tępych mózgów chłopskich odbijała się bez skutku sumienna praca Wiechowskiego. Napróżno profesor przelewał całą swoją duszę w akcenta mowy rosyjskiej oraz w pojęcie „imieni suszczestwitielnawo“, napróżno starał się im wbić w głowy naukę „ślicznej ruskiej pieśni, nabożnej“... Tylko nadzwyczajnej iście gorliwości oraz zdumiewająco potężnym płucom „prefesura“ zawdzięczać należy, że dźwięki pieśni cerkiewnej brały górę czasem w końcu nad chórem głosów dziecinnych, nie mogących odczepić się od nuty tego znanego im tak dobrze i tak z nimi zrosłego: „Święty Boże, święty mocny“...

Przygotowany przez Wiechowskiego, Marcinek wstępuje do gimnazyum. Tu się dopiero na dobre rozpoczyna uprawa.

Bogaty i artystycznie wykombinowany system pracy rusyfikacyjnej, stosowany przez „ciała pedagogiczne“ różnego składu, a zawsze z gorliwością, godną lepszej sprawy, — przyniósł w końcu pożądane rezultaty i doprowadził do tragicznego momentu, kiedy Marcin wobec kolegów i profesorów daje sobie niejako moralny policzek, wypierając się wszelkiej wspólności z „buntownikiem“ Waleckim — przemawiając w te słowa: „Ja nie mogłem do wystąpienia namówić kolegi Waleckiego, gdyż uważam za bardzo użyteczne te „dopełnienia“, które nam właśnie czytał profesor Kostriulew. Był to krytyczny rzut oka na machinacye Jezuitów w upadającej i upadłej Polsce. Mnie się zdaje, że my wszyscy z przyjemnością słuchaliśmy uwag nadprogramowych, i muszę wyznać, że Walecki protestował tylko we własnem imieniu“.

Trzeba wiedzieć, co znaczą „nadprogramowe uwagi“ profesorów moskiewskich o historyi polskiej. Jest to przedstawianie Polaków w jaknajgorszem świetle, przypisywanie nam wszelkich możliwych grzechów i niecnot, ku większej sławie wschodnich dobrodziejów. Bo ci grabieżcy i oprawcy chcą uchodzić za ludzi wolnomyślnych i tolerancyjnych, którzy nam światło przynieśli. To też słowa powyższe polskiego chłopca, wyrzeczone do profesorów moskali, były w istocie wspaniałem uwieńczeniem długoletniej pracy takich Zabielskich, Kriestoobriadnikowych, Kostriulewych... Zacni ci mężowie mogliby też, zdaje się, zupełnie być zadowoleni z politycznych swoich zdolności, mogliby też z całą pewnością uważać, że ta placówka jest już zdobyta—że ten Marcin to już całkiem do nich należy — „sowsiem russkij czławiek“...

A jednak... wystarczył jeden — nieprzewidziany — nieznaczny zresztą bardzo wypadek, żeby cały stan rzeczy nagle i „średnicowo“ się zmienił.

Do Klerykowa przyjechał Zygier, wypędzony z Warszawskiego gimnazyum za „niebłagonadiożnost’“.

I oto jeden wierszyk patryotyczny, wygłoszony z zapałem przez chłopca rewolucyo-

nistę na pogardzanej dotąd lekcyi polskiego, jedna ta godzina, przepędzona w podnioślejszym nastroju ducha, wywołała całą rewolucyę wewnętrzną w myślach i uczuciach wychowanków klerykowskiego gimnazyum.

Zygier wniósł jakby jeden promyk światła do Klerykowskiej ciemnicy i ta iskra mała wznieciła w duszach chłopaków takie wściekłe pragnienie swobody i słońca, że gotowi byli własnymi łbami i karkami rozwalać mury więzienia... „Niby gwałtowny za usunięciem stawidła wybuch wody z jeziora skrytego przed oczyma tych młodzieńców, wwaliły się na obszary, które dotąd znali: wielka poezya wygnańcza, historya rewolucyj i upadków, prawdziwa historya czynów ludu, a nie jego rządu, wieczyście nowa, krwią przesiąkła, pełna żywotów, godnych pióra Plutarcha, albo Carlyle'a... Ta samoistna, oryginalna kultura wciągnęła ich do swej głębi"... I oto ze skromnych pachołków, stosujących się ślepo do woli gimnazyalnych potentatów, z tych głupich maryonetek, opętanych przez moskiewską biurokracyę, z piorunową szybkością wyradzają się uświadomieni rewolucyoniści, z których wkrótce dojrzeją mężę myśli i czynu.

Tę żywiołową siłę rewolucyjną, jaka potężnym prądem przelewa się we krwi polskiej, przepysznie charakteryzuje Zych, gdy mówi o Borowiczu: „W zachwycie jego tkwiło coś bolesnego, jakieś przypomnienie mętne i zamglone, a przecież żywe, niby ciągle w uchu dzwoniący płacz nie wiedzieć czyj, nie wiedzieć kiedy słyszany, a może nie słyszany nigdy, tylko razem z istnością poczęty w łonie matki, gdy brzemienna chodziła około uwolnienia męża z fortecy i w milczeniu płakała nad męką, nad klęskami, nad niedolą i boleścią ginącego powstania..."

Pyszną też jest charakterystyka starego radcy Somonowicza, jednego z ostatnich rozbitków z tej nawy okrętowej, jaką na rozhukanych falach naszego społecznego życia przedstawiać miały wszelkiego rodzaju prądy ugodowe.

Staruszek z przerażeniem przygląda się chmurom, jakie się u nas zbierają na widnokręgu politycznym, z przerażeniem myśli, że będzie może jeszcze świadkiem burzy — trzeciej w jego życiu... Więc zrozpaczony woła do Borowicza: „Trzeci dziesiątek lat upływa — to jest nasionko... Ale to sobie waćpan zapisz w głowie, że ja nie chcę tego dożyć... Nie chcę trzeci raz patrzeć, nie chcę patrzeć, słyszeć, czuć..."

Ale napróżno wołał za nim, Borowicz prędko odszedł, bez współczucia, ale i bez niechęci do spróchniałego grzyba. On młody jest i wie, że „zapał tworzy cudy".

Na końcu książki Zych zupełnie niespodziewanie wysuwa na widownię jeszcze jedno życie ludzkie, złamane, smutne życie Anny, której los fatalnie wiąże się z losem Borowicza. Autor nie używa tu żadnych dekoracyj, żadnych wymuszonych efektów, nie dzieli też ludzi na demonów i... baranów, jak to np. czyni Maskoff w swojej sztuce „Tamten" — ale i tu, jak zawsze i wszędzie, przytacza tylko zwykły fakt życiowy, przez to właśnie tak smutny, że tak bardzo prawdziwy. Ta właśnie bolesna prawda życiowa przytłoczyła ciężkim kamieniem smutku duszę Borowicza i u samego wstępu do życia zgięła go pod tym ciężarem zwątpienia.

— „Nic, tylko mściwe, obłudne, a umyślne łganie, żebyś upadł i żebyś się rozbił. A ty wierzysz, że wykujem lemiesze z pałaszy skrwawionych" — zapłakał w głębi serca.

W tem dał się słyszeć za nim cichy głos.

— Borowicz, panie, panie...

Marcin podniósł głowę i zobaczył twarz Radka, wówczas ucznia klasy ósmej, który stał schylony.

Szerokoramienny, chudy i śniady chłop wlepił swe siwe oczy w twarz jego i cicho pytał.

— Cóż ci to, Borowicz, cóż ci to?

Marcin nie był w stanie rzec słowa, nie mógł patrzeć, wyciągnął tylko rękę i wspomógł się na siłach, czując uściśnienie kościstej, a jakby z żelaza urobionej prawicy Radkowej".

— Zamykamy książkę z uczuciem dziwnie rwącego bolu i mimowolnie powtarzamy słowa, wypisane przez dziewczynę.

Ach, kiedyż wykujem, strudzeni oracze,
Lemiesze z pałaszy skrwawionych?
Ach, kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze,
Prócz rosy łąk naszych zielonych.

I wspomagamy się na siłach, widząc się w szeregu ludzi młodych a silnych, co idą dopiero w życie, by i swoje też rzucić „kamienie na szaniec", a z poza nas wysuwają się całe masy ludzi świeżych, dotąd w walce

***

nieużytych, — spracowanych lecz mocnych— ludzi, odzianych w siermięgi chłopskie i bluzy robotnicze. *N.*

Spóźniona obrona.

Ostatni zeszyt „Muzeum“, (nr. 4 i 5 za kwiecień i maj 1899) czasopisma „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych“ przyniósł dłuższy artykuł p. Stanisława Schneidra p. t. „*Filologia w obradach ankiety*“ (głosy w sprawie reformy szkół średnich). Ze względu na to, że kwestya reformy szkół średnich w Galicyi jest rzeczą pierwszorzędnej wagi i że choć w ostatnich czasach dużo się nią zajmowano, ostatecznie jednak ważnej tej sprawy stanowczo nie załatwiono, a także ze względu, że autor powyższego artykułu stojąc na gruncie ciasnego entuzyazmu dla filologii klasycznej, na nowo stara się udowadniać potrzebę jej w szkołach — zabieramy głos, ażeby raz jeszcze powtórzyć to, co już najwybitniejsi obywatele tego kraju wypowiedzieli: precz z systemem ogłupiania! Nie będziemy przytaczali zdań i cytatów uczonych, gdyż jesteśmy przekonani, że tutaj daleko donioślejsze znaczenie będzie miało to, co czuje sama młodzież wychodząc z murów obecnej szkoły, aniżeli całe stosy naukowych rozpraw i dowodów.

Charakterystycznem jest, że Sz. autor zaraz na wstępie zaznacza (str. 256) że, „bezwzględna prawda nie jest udziałem *żadnej* z walczących stron“. Autor więc z góry już swoje wywody uznaje za nieprawdziwe a zatem bez wartości. Po za tem można się było spodziewać, że Sz. autor krusząc kopiję w obronie klasycznej filologii, wystąpi do walki uzbrojony w dalekonośne działa dowodów naukowych, albo przynajmiej praktycznych korzyści. Tymczasem p. Schneider nie znalazł innych dowodów na poparcie łaciny i greki, jak tylko ogólnikowe cytaty autorów *niemieckich*, lub, o święta naiwności! samychże przedstawicieli „świata helleńskiego“, Heraklita, Homera, Cicerona i jak się tam ci wielcy nazywali. W braku poważniejszych dowodów powiada n. p. (str. 256) że lektura Homera uczy młodzieży tolerancyi religijnej!! Albo czyż taki przykład, że niemiecki historyk Mommsen (str. 267) „uznał w Cezarze niedościgniony ideał męża stanu“ a Mill twierdził, że naszym czasom potrzeba Peryklesa, może uzasadniać potrzebę stawiania filologii klasycznej na pierwszym planie nauk szkoły średniej? Ale już zgoła śmiech musi wywołać wygłoszenie sądu. że Mickiewicz był zwolennikiem klasycyzmu.

Powiada dalej Sz. autor, że z przyrodników obecnych na ankiecie przemówił duch Słowackiego: „Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną! pójdę gdzieindziej i — lud pójdzie za mną!“ i pociesza się myślą, że Bogu dzięki lud jeszcze nie poszedł za niemi. Nie dziwimy się, że Sz. autor, któremu chodzi „o rozwój prawidłowy szkolnictwa w d a n y c h warunkach i w o b o w i ą z u j ą c y m s y s t e m i e“ (str. 268) rzuca gromy na przyrodników. Nie dziwimy się, że jako „humanista“, „filolog“ a nawet „romantyk“ nie lubi nauk przyrodniczo-matematycznych, natomiast dziwimy się temu, na jakiej podstawie może zarzucać najwybitniejszym u nas przedstawicielom tych nauk, że oni nie znając filologii, występują przeciw niej, kiedy sam, dla którego nauki przyrodniczo-matematyczne są „terra incognita“ potępia w czambuł, nazywając je „doktryną o wszechjedności, wiodącą prościutko do indyjskiej nirwany“ (str 261). Słyszycie czytelnicy? Rzeczywiście, że trudno „satiram non scribere“. Więc profesor, pedagog, człowiek należący do sfery, która ma być najwyższym wyrazem inteligencyi w społeczeństwie, powiada, że nauki przyrodnicze i matematyczne prowadzą do... nirwany! I oświadcza to publicznie, całkiem seryo, dzisiaj, w zaraniu XX wieku, kiedy jedynie racyonalną podstawą wszystkich niemal gałęzi wiedzy, stanowią nauki przyrodnicze i matematyczne. Risum teneatis... Chyba wie o tem Sz. „humanista“, że ani Newtona, ani Galileusza, ani naszego Kopernika, ani całego szeregu znakomitych fizyków, przyrodników i matematyków badanie praw przyrody nie zawiodło do... nirwany.

W dalszym ciągu „apologii“ powołuje się Sz. autor (str. 270) na to, co powiedział Szujski o nowoczesnym humanizmie, że on stoi d z i s i a j w jednej linii z chrześcijaństwem przeciw wrogim kierunkom tegoż. Jakto, więc cały ten świat bogów i pół-bogów greckich, ze swoją etyką pogańską, z fatalistyczną istotą „mojry“, ten świat, który nędzarzów gładził, a jako jedyny cel wskazywał „piękno ciała“ „ma być obroną chrześcijaństwa“ przed wrogimi dla niego prądami? Zdaje się nam, że

na takie zestawienie religii greckiej z chrystyanizmem nie zgodziliby się nie tylko ojcowie kościoła, ale nawet sam Sz. autor po głębszym namyśle.

Szczególna rzecz, że atutem pierwszego znaczenia, który autor bardzo często z tryumfem zadaje przeciwnikom filologii, są: „znani ze swej powagi“ humaniści niemieccy, jak Herman Schiller, Burckhardt i Boeckh lub historycy niemieccy, jak Mommsen i Oncken. Otóż właśnie to, Sz. Panie profesorze, że twórcy dzisiejszej szkoły galicyjskiej, organizując ją patrzyli w słońce germanizmu, jak w zbiornik nieomylności, że stamtąd czerpali wzory i natchnienie, to właśnie jest przyczyną dzisiejszego upadku szkół średnich w Galicyi. A chociaż nie mamy zamiaru odmawiać Niemcom ich wyższej zapewne kultury — to jednak, mimo, że jesteśmy zaliczeni przez nich do szeregu „minderwärtige Nationen“ — celów i ideałów, jakie ma nasza narodowa szkoła, nie zamienilibyśmy nigdy z ideałami i celami szkoły niemieckiej. To też i to, że uczeni niemieccy uznają potrzebę filologii klasycznej w swoich szkołach — nie może tu rozstrzygać i zmuszać nas, byśmy owczym pędem szli za pionierami kultury krzyżackiej.

Powiada dalej Sz. autor, że najlepsze tłumaczenia utworów klasycznych nie zastąpią oryginału. Czy takie twierdzenie jest słuszne, a specyalnie, czy w tym wypadku jest słuszne, na razie nie rozstrzygamy (choć moglibyśmy przytoczyć takie przykłady jak: Słowackiego „Niezłomny książe“, Asnyka z Dantego Komedyi boskiej, Siemieńskiego Odyseę i w. i.) i przyjmujemy, że tłumaczenie rzeczywiście nie wystarcza. Ale czyż cała filologia klasyczna zawiera w sobie coś takiego, bez czego życie umysłowe, moralne i społeczne nowoczesnych narodów cywilizowanych absolutnie obejść sie nie może? Czyż te same narody nie stworzyły już rzeczy równie świetnych lub jeszcze świetniejszych od „doskonałego wzoru epopei homerowskiej?“ Czyż nowoczesne literatury Anglii, Francyi, Niemiec, Włoch ze swemi arcydziełami nie lepiej mogą być pojęte i odczute przez młode serca — jak epikureizmem przesiąknięte utwory poetów rzymskich?

Ale dosyć. O tem pisali już i mówili ludzie godniejsi od nas; a chociaż Sz. autor nazywa ich z pogardą: „pozytywistami, drapiącymi się w płaszcz postępowych zasad“, ludzie ci nie skamienieli z wzrokiem utkwionym w przeszłość martwą, ale patrzą w przyszłość narodu.

Powiadasz Sz. panie profesorze, że Grecy wybrali naukę Heraklita, gdzie: „πάντα ῥεῖ“ *) i że wy, „nowocześni humaniści“ naukę tę w czyn zmieniacie. Tak, tylko, że u was w szkołach zamiast, wiecznego ruchu, życia i rozwoju, wśród młodych „πάντα σιωπᾷ“ wszystko milczy i karleje, skrępowane formą bez duszy.

Nie podoba się również Sz. autorowi, że poseł Rotter na ankiecie szkolnej okazał się zwolennikiem Rousseau'a w wychowaniu młodzieży. Zapewne, bo to, co Rousseau pisał w swoim „Emilu“ o wychowaniu jest wprost przeciwnem duchowi (jeśli taki istnieje) humanizmu i filologii klasycznej. Rousseau utrzymywał, że „podstawą wychowania jest poznanie i zbliżenie się do natury“ — dzisiejszy humanizm w szkole dąży do poznania i przejęcia się jednostki czczym formalizmem; Rousseau żądał wychowania samodzielnego i był wrogiem przeciążenia umysłu — dzisiejszy system szkół oparty na humanizmie zabija wolę i indywidualność, a z młodzieńczego mózgu urabia najpowierzchowniejszą encyklopedyę; nakoniec Rousseau domagał się rozwoju fizycznego; dzisiejsza „humanistyczna“ szkoła jest rozsadnikiem i źródłem wszelkich chorób.

„Aleksander Humboldt gdyby ożył, na widok takich jak wy przewodników, wróciłby i w grób się położył“ woła z emfazą Sz. obrońca „ducha greckiego“ (str. 267) — a my powiemy, że gdyby nasi wielcy reformatorowie szkół z końca XVIII wieku ożyli i zobaczyli, jak ich najszlachetniejsze myśli i zamiary, sparodyowano, załamaliby ręce i do grobów by wrócili. Konarski i Kołłątaj, Czacki i Komisya edukacyjna, czy taką pragnęli mieć młodzież, jaka wychodzi z waszych szkół? Karły duchowe, bez charakteru i woli — ale za to rozprawiające o mądrości świata greckiego i o... złotym kołnierzu?... Tak, zrozumieliście i zrealizowali wielką myśl odrodzenia twórców konstytucyi 3go Maja!

„My pogłębiamy lekturę przez odważanie ciągłe i równoczesne dwóch języków, dwóch form i dwóch kultur“ (str. 268). Zapominasz szanowny panie profesorze, że to

---

*) wszystko płynie.

„odważanie" odbywa się od XV w. przez cztery stulecia bez końca aż do obrzydzenia, że z tego „odważania" ludzkość, co w niem było żywotnego i pożywnego dawno już wchłonęła i przetrawiła i że już tylko martwy szkielet nosicie na rękach, mamiąc się, że to wiecznie żywy organizm! A świat, narody, społeczeństwa idą naprzód, dążą do coraz większego postępu — przychodzą nowe zadania i nowe potrzeby, nowe prądy i nowe ideały, wśród których ideały starożytnych Rzymian i Greków są jak mumie bez życia!

Na tem kończymy. Cały artykuł p. Stan. Schneidra naszpikowany obficie cytatami greckich, łacińskich i niemieckich autorów, robi wrażenie niesmaczne, czegoś nie naturalnego, pozaświatowego. Cel, którego autor wprawdzie otwarcie nie postawił, gdyż spodziewał się, że on sam się wyłoni, t. j. przeprowadzenie dowodu, że filologia klasyczna jest niezbędna w szkołach — wcale osiągnięty nie został. Pomijając już to, że dowód ten usiłowano przeprowadzić z naruszeniem zasadniczych praw logiki, które nie dozwalają n. p. określać rzecz jakąś przez nią samą lub dowodzić jej potrzeby w tensam sposób (a tak uczynił p. Schneider, przytaczając co parę wierszy prawie cytaty autorów greckich i rzymskich) — musimy przyznać, że Sz. autor co najmniej spóźnił się z tą „apologią" „hellenistycznego świata", a spóźnił się nie tylko dla tego, że już o tem w swoim czasie dużo pisano i rozprawiano, ale i dlatego, że hasło reformy zostało rzucone i jej postępu już żadne frazesy w rodzaju: „pozytywistów", „samozwańczych reformatorów" i. t. p. nie wstrzymają. Społeczeństwo się ocknęło i żąda wychowania, żąda szkół w duchu narodowym, w duchu odpowiadającym postępowi czasu i zdobyczom pod tym względem innych cywilizowanych narodów. Dzisiejzsa szkoła wynaradawia i deprawuje nas moralnie, fizycznie i umysłowo. Porzucić więc trzeba to, co dotąd było ciężarem, co gnębiło i osłabiało przyrodzone potrzeby narodu, choćby to było niemiłem, dla... jednostek, albo nawet grup całych społeczeństwa. I przytaczając słowa z „osławionych" aforyzmów tego Piasta, którego Sz. autor odsądził od czci i wiary — my oświadczamy, że będziemy nasze życie stosować „do ducha społeczeństw wolnych". A zarazem powtarzamy z poetą „pychy i samochwalstwa":

„Polsko! jeśli Ty masz zostać młodą,
I taką, jak ta być, co dzisiaj żyje,
I być ochrzczoną tą przeklętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije —
To lepiej:
Zostań czem jesteś — ludzi wielkich prochem!"

S. O.

LIST OTWARTY

młodzieży postępowej krakowskich szkół średnich

do kolegi Suwady.

Dnia 20 b. m. odbyło się na błoniach krakowskich uroczyste złożenie godności przez głównodowodzącego wojskiem szkół średnich kol. Suwadę [1]). Przy tej sposobności wygłosił kol. S. mowę, pełną zjadliwych wycieczek przeciwko większości uczniów krakowskich szkół średnich, nie biorącej udziału w ćwiczeniach, mowę, która skłoniła większość uczniów do wyłuszczenia powodów, jakimi się kierowała, wstrzymując się od szopki t. zw. pieniążkowej. Powody:

I. Nie możemy i nie chcemy żadną miarą patrzeć spokojnie na spustoszenie moralne, jakie ta nowa organizacya poczyniła w szeregach młodzieży. Słabe już dość koleżeństwo pomiędzy uczniami nie wzmocniło się, nie zacieśniło się bardziej, jak mylnie powiedział kol. S. Owszem — system „przełożonych" i „podwładnych", jest naszem zdaniem demoralizującym, wytępiającym w zarodku, w uczniach najmłodszych poczucie równości, solidarności i serdeczności koleżeńskiej.

II. Nie możemy się zgodzić na to, aby ucznia w chwili wolnej od nauki uczono i wtłaczano go już w tak młodym wieku w rygor wojskowy, aby go uczono i wpajano karność i posłuszeństwo, jak tego chce kol. S. System uśmiercania samoistnej myśli w rozwijających się dzieciach zabija indywidualizm, nie pozwala wyróść bujnie własnej, zdrowej myśli. Dowodem tego, jak zabijająco działa na rozwijający się umysł owa, tak zachwalana przez kol. S. karność wojskowa, jest okoliczność, że większość uczniów, trzeźwo i samodzielnie myślących, zachowuje się wobec tej przez kol. S. i p. prof. Pieniążka kierowanej szopki, jeżeli nie lekceważąco, to przynajmniej biernie.

---

[1]) Ustąpił z powodu matury.

— Te 2 etyczne powody skłaniają nas do wstrzymania się od ćwiczeń wojskowych. Lecz zdaje się, że kol. S. nie chciał, lub też nie mógł ich zrozumieć i dlatego tak bezczelnie napadł na nas w swej „mowie“. Zdaje się, że dyscyplina wojskowa odnosząc wprost przeciwny skutek, tak dalece wytępiła w nim wszelkie poczucie koleżeństwa, że śmiał swoim „podwładnym“ dziękować za posłuszeństwo, okazane mu w czasie jego dowództwa. Nie wiemy, co podziwiać bardziej, czy zarozumiałość kol. S. czy owego ducha koleżeństwa, okazującego się w ten sposób wobec swych równych kolegów, czy też lekceważące odezwanie się wobec reszty uczniów, nie biorącej udziału w ćwiczeniach. Wykluczenie nas przez kol. S. od koleżeństwa nie podziałało na nas tak skutecznie, jak kol. Suwada się spodziewał. Niechaj zrozumie, że być jego kolegą nie jest tak wielkim zaszczytem. Najbezwstydniejszą, powiedzmy, wprost policyjną i niekoleżeńską była końcowa część przemówienia. Kol. S. raczył nas nazwać włóczęgami, tułającymi się bez celu, a może w złym celu po plantach, kawiarniach billardach etc. etc. Nie rozumiemy, na jakiej podstawie kol. S. śmiał coś podobnego twierdzić. Że przytem sam sobie nie najlepsze wystawił świadectwo moralności, rzucając gołosłowne napaści, to jasne, jak na dłoni. Wszak kol. S. nie zechce przysięgać na świętość moralną wszystkich swoich podwładnych. I ta okoliczność powinna go była powstrzymać od rzucania kamieniem potępienia na nas wszystkich. Zaznaczamy z naciskiem, że zarzut ten odpieramy nie dlatego, jakobyśmy się poczuwali do winy, lecz jedynie dlatego, aby wykazać nicość moralną kolegi Suwady, oddającego większości uczniów szkól krakowskich tak policyjne przysługi.

POSTĘPOWA MŁODZIEŻ
kształcąca się krakowskich szkół średnich.

Nowe przepisy co do egzaminów dojrzałości w szkołach realnych.

Rozporządzeniem ministra wyznań i oświaty z dnia 7. kwietnia b. r. wydane zostały nowe przepisy co do egzaminów dojrzałości w szkołach realnych. Oprócz szczegółowych postanowień, odnoszących się do poszczególnych przedmiotów zdwierają przepisy także następujące ogólne wskazówki.

Abituryenci szkoły realnej (tj. uczniowie klasy siódmej, czyto prywatni, czy publiczni), mają na 3 miesiące przed końcem drugiego półrocza wnieść na ręce dyrektora podanie, wolne od stempla, podpisane przez dyrektora zakładu, wymienić w tem podaniu dotychczasowy przebieg studyów i zgłosić swe przystąpienie do matury. Nauczyciele, wykładający w najwyższej klasie, zwołują następnie osobną konferencyę, na której rozpatrują poszczególne podania i zastanawiają się, którzy kandydaci mają odpowiedni stopień wykształcenia i dają rękojmię zdania egzaminu. Tym zaś kandydatom, co do których zachodzą wątpliwości obowiązany jest gospodarz klasy odradzać, by nie przystępywali do matury, równocześnie zaś powinni być o tem uwiadomieni rodzice, lub opiekunowie dotyczącego abituryenta. Uczniowie, klasy siódmej, którzy w drugiem półroczu otrzymali stopień drugi lub trzeci, nie mogą być przypuszczeni do egzaminu przed upływem jednego roku, ci zaś, którzy otrzymali t. zw. poprawkę, najprędzej w najbliższym terminie jesiennym. Przypuszczenie do matury może być wzbronione tylko na podstawie braku przepisanych warunków; nieprzypuszczeni mają prawo wnieść rekurs do Rady szkolnej.

Prywatyści, eksterniści, którzy nie byli uczniami w żadnej publicznej szkole realnej i nie mają żadnego publicznego świadectwa szkolnego, muszą przy zgłoszeniu się do egzaminu wykazać się ukończonym 17-tym rokiem życia (w Salzburgu, Tyrolu, Styryi, Istryi, Dalmacyi, *Bukowinie* i Ziemi przedarulańskiej ośmnastym rokiem), wnieść podanie do Rady szkolnej (w Styryi i na Szląsku do inspektora krajowego) z prośbą o pozwolenie zdawania i wyznaczenie zakładu, gdzie zdawać mają.

Eksterniści, którzy w poprzednich latach byli publicznymi uczniami jednej ze szkół realnych a potem wystąpili, nie mogą być wcześniej dopuszczeni do egzaminu dojrzałości, niż w tym roku, w którymby uczęszczając prawidłowo do publicznego zakładu ukończyli siódmą klasę.

Przypuszczenie do matury, uzyskane na podstawie fałszywych danych, powoduje nieważność egzaminu i wykluczenie od powtór-

nego składania. Nawet sama próba oszukania pociąga za sobą wykluczenie od wszelkiego w ogóle egzaminu dojrzałości. Dlatego też inspektorowie krajowi lub ich zastępcy, którzy przewodniczą przy egzaminach, są obowiązani w porozumieniu z dyrektorami szkoły realnej i z gronem nauczycielskiem, zbadać z całą ścisłością identyczność osoby kandydata, przystępującego do egzaminu z kandydatem, który wniósł podanie. W protokole egzaminu ma być również zapisanem, jacy świadkowie stwierdzili identyczność osoby.

Komisya egzaminacyjna składa się z inspektora krajowego, lub jego zastępcy, z dyrektora zakładu i z wszystkich nauczycieli przedmiotów obowiązkowych w klasie siódmej (z wyjątkiem gimnastyki) wraz z nauczycielem chemii w klasie szóstej. Nauczyciele przedmiotów względnie obowiązkowych w klasie siódmej należą o tyle do komisyi, o ile znajdą się kandydaci, którzy z tych przedmiotów mają składać egzamin. Oprócz tego może minister oświaty w poszczególnych wypadkach mianować innych jeszcze członków komisyi. Wszyscy członkowie komisyi muszą być ciągle obecni przy egzaminie ustnym.

Pytania z poszczególnych przedmiotów zadaje nauczyciel dotyczącego pszedmiotu; jednak także przewodniczący lub ewentualnie delegowani przez ministra komisarze mają prawo, brać udział w dalszem pytaniu, w sposób nienaruszający w niczem powagi egzaminującego profesora.

Przy ustnych egzaminach mogą być obecni przedstawiciele miejscowych władz i korporacyi, którzy zostają w pewnym stosunku z utrzymaniem zakładu, i którym dlatego dyrektor obowiązany jest donieść o terminie egzaminu; dalej rodzice albo opiekunowie abituryentów, na własne życzenie, w końcu abituryenci zakładu. Bardzo pożądaną jest obecność wszystkich nauczycieli zakładu.

Przewodniczący komisyi egzaminacyjnej może w porozumieniu z dotyczącym egzaminatorem uwalniać poszczególnych abituryentów z jednego przedmiotu. Uwolnienie przysługuje z reguły tylko uczniom publicznym, którzy w wyższych klasach otrzymali z przedmiotu tego notę: „bardzo dobry“, a ewentualnie przy egzaminie piśmiennym uzyskali również postęp bardzo dobry lub celujący. Prywatyści, eksterniści, uczniowie innej szkoły realnej nie mogą być uwolnieni pod żadnym warunkiem.

Przy egzaminowaniu należy zwracać główną uwagę nie na pojedyncze wiadomości uczniów, ale jedynie i wyłącznie na osiągnięty stopień rozwoju umysłowego i uzyskane wykształcenie, od czego właśnie zależy racyonalne korzystanie z fachowych studyów uniwersyteckich. Dlatego *matura nie powinna się rozpraszać na szereg luźnych pytań bez związku z sobą*: szczegółowe wiadomości w przedmiotach egzaminu nie mają decydującego znaczenia, jeżeli uczeń nie okaże ogólnej dojrzałości; *odwrotnie luki i braki w szczegółach nie wpływają na wynik egzaminu w obec udowodnionej dojrzałości abituryenta.* Z tego powodu należy unikać wszystkiego, coby pytaniom nadawało cechę przypadkowości. (Kartki z pytaniami). Egzaminowanie z przedmiotów, które wymagają pamięciowego przygotowania, powinno mieć raczej formę swobodnej rozmowy, aby następnie zakres pytania, stosownie do odpowiedzi abituryenta, można było rozszerzać lub zacieśniać, bacząc w każdym wypadku tylko na rzeczy istotne.

Taksa egzaminacyjna wynosi dla uczniów publicznych 12 koron, dla prywatystów i eksternistów 36 koron. Abituryenci, uwolnieni od całej lub od połowy opłaty szkolnej, są w tym samym stosunku uwolnieni od taksy. Przy powtórnem składaniu egzaminu taksa wynosi dla wszystkich 12 koron.

Taksa złożona może być zwróconą tylko wtedy, gdy kandydat odstąpi od egzaminu jeszcze przed rozpoczęciem matury piśmiennej.

Jak widzimy, przepisy te wprowadzają dość poważne zmiany. Zmienia się przedewszystkiem istota matury, która dotychczas była właściwie nie egzaminem dojrzałości, ale t. zw. „Eselsbrücke“ t. j. mostem oślim, przez który przeskoczyć trzeba, aby znaleść się po za obrębem szkoły średniej i mieć wstęp do szkół wyższych.

To też dzięki temu abituryenci, posiadający rzeczywiście dojrzały umysł, niejednokrotnie nie otrzymywali świadectwa dojrzałości, dla braku znajomości rozmaitych formułek, dat i cyfr; inni znowu, którzy wcale nie uzyskali owego wyszkolenia, stanowiącego podstawę dalszych studyów, ale mieli za to głowę napchaną szczegółami i szczególikami, „uznani za dojrzałych“ wychodzili ze szkół

średnich, zapełniając szeregi niedouczonej i niedowarzonej, choć dyplomowanej inteligencyi.

Z tego powodu, abstrahując od rozmaitych braków, widzimy w owych przepisach stanowczy zwrot ku lepszemu, i wyrażamy życzenie, aby przepisy te nie pozostały tylko na papierze, jak również spodziewamy się rychłego wprowadzenia analogicznych przepisów w gimnazyach, gdzie dotychczasowy system nadaje maturze jeszcze większą cechę przypadkowosci, niż w szkołach realnych.

Buran.

(Ciąg dalszy).

„A zaśpiewaj no, bracie," zwróciłem się do Igora-woźnicy: „weselej jechać będzie."

Po chwili czysty głos syna stepu zlał się z jękiem dzwonka, zabrzmiał monotonną melodyą stepową, ale tak szczerą, tak bezmiernie rzewną i tkliwą, żem się wsłuchał w nią i zapomniałem na chwilę o wszystkiem.

„Hej wy, sokoły, hej wy, gołębie!
Lećcie — już blizki nasz kres:
W dali, gdzie mroków tych śnieżnych głębie,
Luba ma czeka wśród łez.
Czeka przy słabem świetle łuczywa,
Nić na wrzeciono nawija wciąż
I myśli z troską: „szaruga się zrywa,
A czy on wróci mój luby, mój mąż..."

Wtem przerwał śpiew i z niepokojem na twarzy zwrócił się ku mnie, ręką wskazując na zachód.

„Panie „buran" idzie!" szepnął.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Była godzina czwarta po południu, zachodzące słońce sięgało już prawie widnokręgu, przysłonione jakąś mgłą, z poza której jakby z trudem wydobywały się jego promienie; po nad słońcem na prawie czystem tle nieba wił się, jak kłębek dymu, biały obłoczek, wyglądający wcale niewinnie.

„Co ci się śni," ozwałem się powątpiewająco: „skądżeś wziął „buran"?"

Woźnica znacząco pokręcił głową.

„Panie, czterdzieści lat jeżdżę po stepie — ten obłoczek to „buran."

„At, bzdurzysz, stary! Zresztą możemy wrócić."

„A, panie! Choć powiedziałem, że to „buran," ale nie znaczy jeszcze, byśmy mieli wracać. Chybaśmy nie ludzie, byśmy się mieli bać „buranu"? niech się on nas boi. Czy to nas nasze sokoły nie wyniosą! Dwadzieścia wiorst mamy jeszcze do Malutkina, a tam choćby się i zerwała wichura — radzi nam będą, to i przenocujemy."

„No, to ruszaj! Staniemy na noc w Malutkinie."

„Hej, gołąbki!"

Konie zagrzane głosem woźnicy ruszyły raźniej i tak jechaliśmy z godzinę. Słońce zaszło i zaczęła się słaba z początku zadymka; obłoczek rósł powoli i wyrósł już tak, że całe niebo przedstawiało szarą, kłębiącą się masę, z której począł lecieć obfity śnieg. Zerwał się silny wiatr i począł wzbijać całe tumany śniegu, który bił w twarz i zasypywał oczy, miotał się jak szalony ze wszystkich stron, szum wiatru zmienił się w ponure wycie; za chwilę nic widziałem już nic prócz szerokich pleców Igora, ubranego w tołub barani. Usunąłem się głębiej w budę „kibitki," szczelniej się owinąłem w „dochę."

„Uważaj na drogę, a za pół godziny będziemy w Malutkinie!" krzyknąłem z całych sił, gdyż wiatr wpychał mi słowa napowrót do ust,

Minął kwadrans, gdy uczułem, że sanie brną w zbyt głębokim śniegu i kołyszą się, jak łódź. Zrozumiałem, żeśmy zjechali z bitej drogi, więc kazałem się zatrzymać.

„Gapiu!" krzyknąłem w gniewie: „zbłądziłeś! Wyłaź z sani i szukaj drogi!"

Igor począł się usprawiedliwiać.

„Złaź i szukaj drogi!"

Woźnica zeskoczył na ziemię i odrazu zniknął mi z oczu. Chwilę trwała cisza przerywana tylko szumem wiatru i cichem pobrzękiwaniem dzwonka, gdy usłyszałem gdzieś z tyłu rozpaczliwe wołanie woźnicy:

„Au! au!"

„Hop! hop!" odkrzyknąłem z całej mocy.

„Au! au!"

„Hop! hop!"

Tuż przy saniach zerwała się postać Igora, który począł się gramolić na kozioł.

„Cóż!"

„Niech mię Bóg skarze“ — odrzekł żałośnie prawie z płaczem — „winienem, żem zbładził, ale niech mię pan wolej zabije, a drogi szukać nie pójdę: ledwom wysiadł, już ani koni ani sani nie widać — to śmierć oczywista! O Boże, Boże! — narzekał dalej.

„Milcz, niezdaro! nie czas teraz płakać Puszczaj konie wolno i ruszaj!“

W takich razach jedynym ratunkiem jest zdać się zupełnie na instynkt tych szlachetnych zwierząt.

Ruszyliśmy znów i brnęliśmy po śniegu w mgle i zamieci, tylko woźnica od czasu do czasu krzykiem dodawał otuchy sobie i koniom.

„Ot tobie masz“ — myślałem — „dziś jeszcze miałem prosić ostatecznie o rękę Anny, a tu masz dyable tabaki! gotówem zmarznąć jeszcze w tym przebrzydłym stepie. A oni sobie tam siedzą spokojnie, popijając herbatę. Stary Aleksander Kuźmicz chrząka i ociera pot obfity z czoła po 12-stej szklance, Aniuta czyta pewnie „poezye w prozie“ Turgieniewa, którem jej dał ostatnim razem i wzdycha myśląc, czemu to, mimo żem obiecał, nie przyjechałem dziś. Biedaczka — ani wie, że jadę właśnie, że błądzę wśród stepu, że śnieg mi zasypuje oczy i kto wie może właśnie zasypie na zawsze. I pocóż mi owe wymarzone miliony, owe barki i parowce? czem że jest to wszystko wobec śmierci?“

Tak rozmyślałem, otulając się coraz mocniej w „dochę,“ bo jakiś dziwny dreszcz przebiegał mi członki — może to już śmierć.

Wtem jakaś postać zaczerniła się tuż przy saniach; człowiek czy mara chwycił ręką za brzeg sani i począł milcząc gramolić się do środka. Mimowoli sięgnąłem po rewolwer.

„Ktoś ty?“ zawołałem z niczem niewytłumaczoną trwogą, jaka mię ogarnęła.

„A któż, jak nie człowiek, taki jak i ty“ — odrzekł gość nieproszony, sadowiąc się przy mnie i otulając obie nogi baranicą: „Bóg mi chyba was zesłał, bobym zginął jak nic wśród tej wściekłej nawalnicy. Teraz co innego, bo choćbyśmy i zginąć mieli — zawsze we trzech weselej jak samemu.“

„Ktożeś pan jest i co tu sam robisz w stepie?“ — zapytałem grzeczniej, słysząc po mowie czystej i poprawnej, że mam przed sobą inteligentnego człowieka.

„Ktom jest? dużoby o tem mówić a nie warto. Co tu robię? — odpowiem krótko: idę do Buzułuka i jeśli dojdę, to dalej na zachód, a teraz „buran“ mię ogarnął i zbłądziłem jak i wy. Chwała Bogu, żem was spotkał.“

Umilkliśmy. Podróż dalej trwała bez zmiany; konie brochały się w śniegu po brzuchy, sanie przechylały się to w tę to ową stronę. Woźnica skulony milczał.

„Zkądżeż pan szedł teraz i dlaczego piechotą? Taka podróż w stepie jest w zimie bardzo niebezpieczna, jak się pan o tem dziś najlepiej przekonałeś?“

„Co do niebezpieczeństwa, to dla mnie za błaha przyczyna, by mię od czegokolwiek odwieść mogła, a co do tego dlaczego podróżuję pieszo — przyszedłem tu pieszo i tak samo odejdę, zresztą mam przejść jeszcze parę tysięcy wiorst a w kieszeni 3 ruble 76 kop. więc trudno żądać, bym pocztą lub koleją jechał.“

Głos jego urywany brzmiał niechętnie, jakby nie miał wcale ochoty do gawędki. Uczułem, że mu sprawiam przykrość natrętnemi pytaniami, więc umilkłem. Ale jakaś nieprzezwyciężona ciekawość i sympatya pociągały mię ku niemu. Począłem mu się przyglądać. Pomimo ciemności dojrzałem, że miał na sobie wielką czapkę futrzaną i kożuch barani niepokryty z podniesionym kołnierzem, z po za którego sterczały wielkie, siwe wąsy.

„W jakim że celu pan odbywa tak daleką podróż?“ spróbowałem zadać jeszcze jedno pytanie.

„W jakim celu?“ zapytał głucho — „A jak pan myślisz, w jakim celu gołąb, gdy go przemocą zabiorą i wywiozą z rodzinnego gniazda, wyrwawszy się, nie dba, czy ma przed sobą do przebycia ocean czy tajgi[1]), tylko wzbija się w górę i leci, nie zważając, czy go w drodze jastrząb zabije, czy straciwszy siły z omdlałemi skrzydły padnie na fale morskie.

I jaki cel jego? Cel na oko marny, błahy — zawiera się w jednem słowie „Ojczyzna.“ Otóż i ja jestem takim gołębiem i mnie kiedyś — dawno już to dawno — zabrano przemocą z mego gniazda i jam się wyrwał na swobodę, a choć już się zmieniłem z czarnego na białego gołębia — nie zważałem, że ocean przedemną, że stracić siły mogę i paść...

---

[1]) Syberyjskie bagna.

i padłbym już, gdyby los nie zdarzył, żem usiadł oto na maszcie okrętu w postaci pańskich sani, a chociaż okręt ten skołatany burzą nie wiem czy wypłynie, zawsze mi raźniej, że nie sam umrę, jak żyłem sam z cierpieniem swojem we dwoje...“

Głos jego zabrzmiał rzewnie, drgała w nim powaga przetrawionego bolu, nakazująca szacunek. Coś mię tknęło, odczułem jakąś znajomą serdeczną nutę w tym głosie, coś miłego a tak dawno minionego zaszemrało mi w duszy, jakaś twarz boleśna, otoczona koroną siwych włosów przemknęła mi przed oczyma... drgnąłem — to matka moja!

„Panie!“ zawołałem po polsku: toś pan mój rodak!“

Chwila ciszy jakby wahania i starzec ręką ośnieżoną objął mię za szyję.

„Bracie! czym się spodziewał? Tu na tym stepie w zaspach śnieżnych obok śmierci... spotykam ciebie... swego... Ach, mów, mów jeszcze co! Cóż ty tu robisz?“

„Ja tu mieszkam. Przed kilkunastu laty przyjechałem z rodzicami, matka umarła mi w następnym roku, a ojciec cztery lata temu. Ojciec był hreczkosiejem — dzierżawił tu duży majątek, a ja po nim dzierżawię dalej: hoduję konie, owce i sieję zboże“...

„Z którychże stron pochodzisz?“ pytał stary, ściskając mię mocno za rękę powyżej łokcia.

„Z Ukrainy, z pod Humania.“

„Z pod Humania?! Bracie, niech cię uściskam! ja też z tamtych stron — z Taraszczańskiego! Mów, mów jak tam teraz, czy tak jak wtedy za moich czasów było? czy tacy ludzie, czy takie chaty, czy takie...“

„Alcż panie, już 16 lat, jak te strony opuściłem, więc tyleż wiem co i pan.“

„Ach tak — to dawno było, byłeś dzieckiem jeszcze.,. Ale powiedz mi, pamiętasz przecie, jak wówczas było? powiedz mi coś, co pamiętasz?“

Zacząłem przywoływać sobie na pamięć różne epizody z dziecinnego i chłopięcego życia, opowiadać staremu, który się cieszył jak dziecko, zadając mi nieraz naiwne pytania lub prostujące:

„Mieliście ogród nad stawem, to tak, jak u nas, ale czy były nad stawem takie piękne, wysokie, strzeliste topole, jakie u nas były?“ „A jakże, mieliśmy topole.“

„Topole“ — powtórzył miękko, z pieszczotą w głosie — „to-po-le...“ Wszak znasz te słupy rozległe, kwiatem osypane, mogiły wysokie, trawy bujne... znasz błota, rudy, łachy i limany, oczerety szumne, wierzby płaczące... Drzewa i przepiórki odmawiają modlitwy wieczorne, żaby odbywają swoje krzykliwe narady... Co za powietrze! Co za swoboda! A śpiewki, panie ukraińskie a dziewuchy! Oj, jak bywało, wracając od roboty, zaśpiewają chórem, to aż serce w piersi ku nim skacze; a wesołe to, hoże — zęby szczerzą w uśmiechu. Poezya, panie! A łany zboża, hej żyta kwitnące, pszenica złocista! Jak zajdą żeńcy, niby kwiaty krasne: głowy mołodyć i dziewcząt chylą się, to znów wznoszą, srebrne sierpy w ręku migocą, pęki kłosów przechylają się i kładą na ziemię, żar z nieba leci, a jasność tak wielka, że, odbijając się od ścierni, oczy razi, patrzeć nie daje. Nieraz, panie, na koniu hasam, podjeżdżam do żeńców, siadam pod kopą i patrzę i wciągam w piersi ten zapach, rolnikowi tylko zrozumiały i miły, zapach zżętej pszenicy. Czasem wołam: „A przynieś no, mołodyczko (albo dziewucho), wody, bo się chyba roztopię na słońcu.“ Obejrzy się i zaraz zęby wyszczerzy. „Na cóż się śmiejesz, albo ci mnie nie żal, jak się rozpłynę?“ „Aj gdzieby się tam rozpłynał taki „mołojeć jak panicz“ — mówi uśmiechając się i zręcznie się schyliwszy dostaje z pod snopa „bańkę“; idzie do źródła, wraca, wdzięcznie się przechylając podaje wodę i znów się śmieje, życząc „zdorowi pywszy.“ — Wesoły lud!

Studyowałem wówczas medycynę i przyjeżdżałem na wakacye na wieś. Ojciec był sędzią lubianym i szanowanym przez współobywateli. Gospodarz też był dobry, a i wiodło mu się nieźle, to też nie brakło mi pieniędzy ni dostatków. Wesoła okolica! Nieraz się zjadą sąsiedzi — bracia szlagony — rozprawiają, podnoszą różne kwestye, spierają się — czasem się kłócą, aż się zaperzą, a ojciec mój powagą swoją godzi ich i mityguje. Czasem się zbiorą w sąsiedztwie na tańce lub zabawę; rznęliśmy panie mazura od ucha, aż drzazgi lecą z podłogi — nieraz od zmroku do dnia białego. Przysiadamy się bywało do panien: piękne były i dobre, nie to co tu. A była między niemi jedna — Wanda miała na imię — to już, zdaje się,

drugiej takiej na świecie nie było. Hoża, wesoła, panie, i oczytana i rozsądna, a zapalczywa w dyspucie, jak student. Nieraz bywało, młodzież się zbierze i konną kawalkadą odbywamy dalekie przejażdżki; a dosiadała ona, panie najdzikszego konia; harcowała jak kozak. Jedziemy tedy, panna Wanda naprzód zawsze (zwaliśmy ją żartem pułkownikiem), jak prawdziwy pułkownik. Harcujemy z chartami za zającem, albo też pędzimy w różne strony, aż zmęczeni zsiadamy z koni gdzie w lasku, lub pod wierzbami w cieniu. A czas był wtedy taki, że się usta nie zamykały wśród ciągłych i gwarnych rozmów. Marzyliśmy wszyscy o heroicznych czynach, o różnych pięknych rzeczach, pan wiesz? A czasem bywało, zdarzy się między nami jakiś człek słabszego ducha, który przemówi nieśmiało za spokojem, to mu Wańdzia zaraz jak żbik skoczy do oczu: „Co?... co?...“ i „zdechł pies“ przeciwnik. Albo łodzią wyjedziem na czystą, niezmąconą niczem toń rzeki między łachy i oczerety. Księżyc leje na nas srebrzyste światło, wiosła nurzają się, to znów wydobywają się z wody, poruszają dyamentową falę i perlistemi kroplami świecą, jak skrzela bajecznego potworu. Gwarna rozmowa siedzącej w łodzi młodzieży ucicha zwolna, owiana urokiem ukraińskiej nocy; wszyscy słuchamy tajemnych a miłych głosów, dobywających się z oczeretów prawie nieruchomo i tylko z lekka poruszających liśćmi, jakby w cichej modlitwie chciały wyrazić swój zachwyt dla tak pięknego zjawiska, jakiem jest noc czerwcowa na Ukrainie. Czarowna noc! Ja w takich chwilach wpatrywałem się zwykle w zachwycie w cudnie piękną postać dziewicy, stojącej zawsze u masztu; bujne czarne włosy w dwa warkocze splecione, spływały na jej ramiona; twarz biała, zwrócona ku księżycowi, pod czarnymi łukami brwi czarne lśniące oczy... Stała tak zwykle czas jakiś, aż z piersi jej silnej wypłynęło nut kilka serdecznych i swojskich, wówczas chór głosów męzkich podchwytywał piosenkę i cała rzeka, oczerety i łachy i przesycone srebrzystem światłem powietrze nocne rozbrzmiewały poważnymi religijnymi, lub wesołymi dzwiękami, albo jak grzmoty rozlegała się pieśń bojowa... Szczęśliwe były czasy! Jakże szybko minęły!... O, gdzieżeście wy, noce letnie i dni skwarne, dumki wolne, rozmowy serdeczne!...“ (D. n.)

O społecznem zadaniu sztuki.

Zmuszeni we walce o byt przystosowywać się do warunków życia i naodwrót warunki do siebie, przyzwyczailiśmy się dopatrywać się celu z każdem naszem działaniu. Ten sam pierwiastek celowości widzimy zazwyczaj także i w działaniu całego społeczeństwa — i być może we wielu wypadkach się nie łudzimy. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że społeczeństwo stara się istniejące w jego łonie tendencye i działające w jego organizmie siły, choćby same w sobie z dobrem społeczeństwa nic wspólnego nie miały, przecież spożytkować dla własnej korzyści, najczęściej w ten sposób, że stosunki faktyczne zamienia na prawem unormowane instytucye i wtłacza potok zjawisk społecznych w uregulowane ściśle koryto. Stosunek płci zmieniło w instytucyę małżeństwa — ciekawość i żądzę wrażeń w zawodowe kształcenie się — dążność do wydatkowania siły i działania w instytucyę ściśle unormowanej pracy zawodowej i t. d. — Ba nawet najswobodniejsza dziedzina ludzkiego życia, dziedzina sztuki nie ostała się wobec tego prądu utylitaryzmu. Przez cały prawie ciąg wieków epoki historycznej widzimy sztukę na usługach czy to pewnej warstwy społecznej, czy to pewnych jednostek. W Indyach, Egipcie, Babilonii była sztuka narzędziem w ręku rządzącej kasty kapłanów; w Grecyi i Rzymie usługiwała naród, przez który rozumiano jednak tylko jedną warstwę ludności tj. obywateli. Potem wchodzi sztuka w stosunek zawisłości od kościoła; renesans włoski, a potem oświecony despotyzm oddaje ją w ręce dworu; wiek oświecenia narzucił jej nowego protektora: państwo.

Równocześnie z tą ostatnią fazą rozwija się nowa instytucya: wystaw, początkowo prywatnych, potem publicznych i teraz staje się opinia publiczna, kierowana przez krytyków, suwerenem artysty.

Stosunek zawisłości nadaje sztuce pewien kierunek, narzuca jej pewne postulaty, stąd złudzenie, że ona czyniąc zadość tym wymaganiom spełnia jakieś społeczne zadanie. — Tu jednak otwiera się kwestya, dlaczego sztuka pozostawała w zależności od potęg społecznych? — Oto raz dlatego, że artysta musi mieć czas wolny od zajęć pospolitych, więc albo sam być bogatym, albo uzy

skać protekcyę bogatych — w pierwszym wypadku z własnego popędu, w drugim części ze względów utylitarnych, częścią pod wpływem suggestyi — tworzy w duchu warstwy do której należy — lub od której zależy. — Powtóre są same studya — a w niektórych dziełach materyał — bardzo kosztowne, więc znowu ten sam skutek. Nadto wyrabia się w szkołach artystycznych pewna tradycya, do której każdy wstępujący mimowoli się dostraja. — Wreszcie dusza artysty, jako bardziej, niż inne, wrażliwa, wchłania tem chciwiej wrażenia życia i idee panujące, a że te idee są właśnie ideami społeczeństwa, względnie pewnej jego grupy, to nie dziwnego, że one wyciskają piętno na twórczości artysty i nadają jej kierunek — i oto mamy drugi powód złudzenia, że sztuka spełnia społeczne zadania.

I przyzwyczailiśmy się patrzeć na sztukę przez taki pryzmat, ba nawet powstała szkoła krytyków zwana historyczną, która nietylko podawała postulat, by sztuka była nośnikiem idei narodowych, ale nawet uczyniła z tego probież wartości dzieł artystycznych.

Przeciw takiemu narzucaniu postulatów nastała w drugiej połowie naszego wieku reakcya. Indywidualizm we wszystkich odmianach domagać się począł swych praw i ogłosił — a raczej podjął dawniej już wypowiedziane hasło: „sztuka dla sztuki!“ Zerwać pęta utylitaryzmu i celowości w sztuce, wyzwolić się z więzów twórczości, że tak powiem, programowej — tworzyć ze siebie i dla siebie, patrzeć w tajniki swej duszy artystycznej i przy migotliwym blasku intuicyi, niby górnik przy świetle pochodni, dobywać z ciemni własnego „ja“ skarby albo rudę myśli, uczuć, nastrojów: oto ideał całej falangi modnych artystów. „Nic dla drugich tworzymy — tworzymy dla siebie samych“.

Przyznać musimy, że ze swego stanowiska mają oni racyę — boć przecież z natury rzeczy popęd twórczy, jako objaw pewnej nadwyżki sił, szukającej sobie w sztuce t. j. w tworzeniu, upływu, jest popędem ściśle indywidualnym — i tak samo, jak nie można głodnemu wmawiać, że on je dla społeczeństwa, a wesołemu, że on tańczy dla dobra ogółu, tak też nie można przekonać artysty, który tworzy dlatego, iż czuje w sobie popęd do tego, że on to czyni lub czynić winien dla społeczeństwa. Za daleko jednak idą ci, którzy społeczeństwu odmawiają prawa czynienia artyście pewnych postulatów — i sądzenia go ze swego socyalnego stanowiska. Żądania, jakie ogół zwraca do artysty, są tylko kontr-postulatami przeciw jego wymaganiom. Jeżeli on żąda od świata środków do życia i do tworzenia, jeżeli wymaga uznania i hołdu — to chyba i świat ma prawo żądać czegoś w zamian; jeżeli zaś on obojętny dla świata, idzie za swym popędem tylko gwoli własnej rozrywki, to skąd wywodzi swe prawo do podawania światu swoich postulatów?

Możeby tu ktoś zawołał: „My też od was niczego nie żądamy — odi profanum volgus!“ — Ale ta wzgarda jest wzgardą lisa, który nie mogąc dosięgnąć grona winnego, mruczał pod nosem: „Ee, kwaśne jagody!“

Mniejsza o dobra materyalne — te może artysta skądinąd sobie zapewnić — ale uznaniem i sławą darzy świat tylko za usługi jemu oddane. Prawdą jest zdanie Lassala, że naród tylko sam siebie czcić umie, że cześć, jaką otacza swych wielkich mężów, jest hołdem, jaki sam sobie oddaje — bo wielkim w narodzie jest ten tylko, kto wziął w siebie i zestrzelił ducha narodowego,ześrodkował w sobie rozprószone jego promienie, skupił je i wzmocnił — a przeto posunął o krok naprzód na drodze rozwoju — to też naród, hołdując swym wielkim mężom, sobie samemu stawia ołtarze. I artysta wtedy tylko jest wielki, jeśli ducha narodu, albo epoki przejmie w swą duszę i skrystalizuje w swych utworach, które naród czcić i cenić będzie, jako uosobienie własnego jestestwa.

* * *

Jeżeli więc prawdą jest, że sztuka musi — może nie de jure, ale de facto — spełniać w społeczeństwie pewne zadanie — to chodzi teraz o zdefiniowanie tego zadania.

Dość już mówiono i pisano o pedagogicznem i politycznem zadaniu sztuki, o tem, że kształci umysł i serce, że wśród walk politycznych i społecznych artysta, jak mowca, porywa lud za sobą, zdobywa serca dla idei. Ale poza tem ma sztuka inne większe, powszechne znaczenie. Ona ma uzupełnić życie — ma nam dać to, czego już życie dać nie może. Ono skazuje nas bowiem na coraz większą, coraz ściślejszą jednostronność.

Społeczny podział pracy i idąca za tem konieczność fachowego wyrobienia się w jednym kierunku, a niemożność objęcia kilku działów życia i pracy, powoduje, że oddani wyłącznie zawodowym zajęciom, marnujemy wszelkie inne zdolności, że tężejemy wprawdzie pod jednym, ale karlejemy pod tylu innymi względami, że żyjemy tylko częściowo, tylko kawałkiem życia, Otóż sztuka może pobudzić te wszystkie zdolności, które przez nieczynność zmarniałyby, do żywego działania, do czynności. Czynność jest rozkoszą życia, ba nawet życiem samem — jak powiada A. W. Schlegel. Jak zabawa chroni nasz organizm od zmarnienia, tak samo chroni duszę naszą od skarlenia i wypaczenia: sztuka. Podnieca ona zmysły (nie zmysłowość) nasze, rozbudza wyobraźnię z uśpienia, ożywia uczucie, rozwija siły intellektualne. W niej my znaleść możemy to wszystko, czego nam brak w życiu. Ona zastąpi nam życie — ona jest wszechstronną jak życie — ona będzie dla wprzągniętych w jarzmo zawodowej jednostronnej pracy tem, czem słeńce dla więźnia — ona poić nas ma wrażeniami, których nam życie skąpi, albo które przytłumia; — ona wstrzyma proces zatraty naszych władz intellektualnych i moralnych — jeżeli życie ma tendencyę uczynienia z nas maszyn roboczych, pracujących szablonowo, bez myśli; to ona nam wrócić ma osobowość, człowieczeństwo; — ona ma być onym „skarbem maluczkich“, o którym mówi Maeterlinck, że największego nędzarza czyni największym bogaczem.

Kronika.

Wieczorek ku uczczeniu Słowackiego. Donoszą nam z Krakowa: ,,Okres Mickiewicza już minął, nadchodzi okres Słowackiego“. — Błędnie pojmują ci, którzy tak myślą. Dziś czy jutro — Mickiewicza z piedestału, na którym stanął, nikt nie usunie. Inna rzecz, jeśli w ostatnim czasie mówi się nieco więcej o Słowackim. Dowodzi to tego, że w 50-cioletnią rocznicę tego, który tak cierpiał za Ojczyznę, młodzież zaczyna pojmować jego ideały i oddaje mu cześć należną. Z uznaniem należy wspomnieć o wieczorku ku uczczeniu pamięci Jul. Słowackiego, urządzoaym staraniem uczniów VII kl. gimn. Św. Jacka. Pierwszy to raz w naszem mieście wystąpiła młodzież z koncertem nietylko instrumentów smyczkowych, lecz również i dętych. Zawdzięczamy to energicznym zabiegom prof. Kannenberg'a, co z uznaniem podnosimy. Z deklamatorów wyróżnił się kol. *Trepka* (kl. V.), wyborny chór zbierał zasłużone oklaski.

(Ch. W.)

Wycieczki do Krakowa. W czasie Zielonych Świąt odbyły się 2 wycieczki uczniów gimnazyalnych celem zwiedzenia Krakowa i jego osobliwości.

Pierwszą wycieczkę urządzała młodzież gimnazyalna lwowska (w liczbie 75) pod przewodnictwem ks. Gnatowskiego i prof. Kucharskiego. W ciągu trzydniowego pobytu uczniowie zwiedzili cały szereg kościołów, muzeów, Kopiec Kościuszki, Wawel i Wieliczkę. Uprzejmości jednego z naszych czytelników a uczestnika wycieczki zawdzięczamy następujące szczegóły: „Wycieczce przewodniczył ks. Gnatowski, towarzyszył prof. Kucharski. Utrzymanie, wstępy, w ogóle życie przez 3 dni, kosztowało 7 złr. 50 ct. (nocleg mieliśmy w hali parku Dra Jordana). Młodzież krakowska a właściwie organizacya t. zw. wojska oficyalnie nas przyjmowała.

W niedzielę (21. maja) przemawiał do nas słów kilka w „Czytelni akademickiej Dr. Z.... Treścią jego przemowy było, że Polska nie kończy się za granicami Galicyi, ani Królestwa, ani Księstwa Poznańskiego, lecz wiele jest jeszcze jej części, pogrążonych w zaniedbaniu i niepamięci, przedewszystkiem zaś Szląsk i Morawa. Wzywa nas przeto, byśmy, gdy poczniemy „działać“, a oni ustąpią, o tych prowincyach pamiętali.

W parku na odjezdnem mówił prof. Jordan, domagając się od nas stworzenia we Lwowie podobnej organizacyi, jak krakowskie wojsko gimnazyalne, żądając, byśmy w tym duchu wpływali na rodziców. Poczem całe to wojsko polskie przedefilowało przed nami na pożegnanie, wraz ze swymi oficerami, pułkownikami, wstęgami, złotymi sznurkami, trąbami, bębnami i sztandarem. Na dworzec pomaszerowaliśmy z muzyką i z „fakelzugiem“ (?!). Tam żegnał nas wraz z kolegami jeden z akademików; sztab krakowski na peronie śpiewał wiwaty, a kolega Procyk odpowiedział, zapraszając Krakowiaków do Lwowa... i dziękując“.

Drugą wycieczkę urządzali uczniowie ruskiego gimnazyum w Przemyślu. Wycieczkę zorganizował prof. Prima, powszechnie szanowany i lubiany przez młodzież, który co roku urządza takie wycieczki w różne strony Galicyi.

Uczniowie zwiedzili Kraków, Wieliczkę i Bielany. Obszerniejszego sprawozdania nie otrzymaliśmy.

Z wycieczką łączy się jeszcze jedna ciekawa rzecz. Uczniowie polskiego gimnazyum w Przemyślu chcieli się przyłączyć do kolegów Rusinów, ale nie pozwolił im na to dyrektor Piątkiewicz. Dla braku bliższych informacyi o tym fakcie wstrzymujemy się na razie od komentarzy.

Nowe pismo. W Krakowie zaczął wychodzić nowy miesięcznik społeczno-literacki p. t, „Krytyka“. Zadaniem jego — czytamy w prospekcie — „stworzyć ognisko niepodległej i rzeczywiście postępowej myśli polskiej i być wyrazem tych, którzy rozumiejąc konieczność rozwoju i reform, pragną ogarnąć niemi całokształt naszego narodowego życia w jego społecznych i duchowych objawach, a nie lękają się tego, czego życie to coraz gwałtowniej i natarczywiej się domaga; swobody“.

Dwa pierwsze zeszyty za kwiecień i maj przedstawiają się bardzo korzystnie ze względu na treść i rozmaitość artykułów. W artykule wstępnym posła Ignacego Daszyńskiego p. t. „Nasza polityka“ czytamy:

„Pasowanie sie potężne o chleb, o prawo, o światło, o życie w narodzie wzmagać się będzie z dniem każdym; z ciemnej głębi społecznej wylaniać się poczyna świadomość klasowa ludu polskiego; jak zalew Nilu mętny i groźny niesie ona na przyszłość nadzieję bogatych plonów. I witać nam tę falę radośnie i na wzgórzach beczki smolne zapalać, bo oto rzeka cudowna już ruszyla i kraj użyźni!.. Cóż zaszczytniejszego, niż być stróżami, życie i szczęście i chleb dającej powodzi! A choćby nie jednemu z nas i zginąć w tych falach przyszło, cóż to znaczy? Dawniej ginęliśmy tak samo, co dnia w ciszy i męczarniach bezczynności i zwątpienia, bez pożytku dla nikogo“...

W innym artykule p. t. „Intermezzo“, Władysława Kotowicza czytamy; „Rzućmy pogardę na tych, którzy gaszą zapały młodzieńcze, a szlachetny entuzyazm mierzą łokciem swego ograniczonego rozumu, którzy starają się ośmieszyć porywy wielkie, sami śmieszni w małości swojej; którzy stojąc na śmiecisku ostrzegają orła, ogarniającego z podniebnych szlaków widnokręgi nieskończone, aby się w locie nie pomylił“...

Dalej idą; „Skazaniec polityczny“ (Franciszek Czerski) — „Młoda Polska“ I. (Jan-Sten) — „Z literatury obcej“ (Posner-Garfein) — „Luźne kartki“ — wiersze „Codzienny gość“ (Filip Eisenberg) i „Rabbi-Pelaloj-ben-Bedas“ (Jerzy Żuławski), wreszcie „sprawozdania z nielegalnej prasy polskiej“.

Drugi zeszyt za maj zawiera: „O sejmie i kraju“ artykuł wstępny posła dr. Fr. Winkowskiego. — „Stręczenie pracy“ (Karol Nächer) — bardzo ciekawa praca krytyczna: — „Rewizya zasad socyalizmu“ (Res) — „Proletaryzacya Galicyi“ (Wilhelm Feldman) — „Młoda Polska II“ (Jan Sten) — „Kilka słów o modernizmie“ (Posner Garfein) — „Luźne kartki“ — Przegląd teatralny — wiersze; „Jutrznia“ (Andrzeja Niemojewskiego) — „Osioł i bajkopis“ (Wacława Wolskiego).

Pismo to jako rzeczywiście zasługujące na poparcie polecamy czytelnikom „Promienia“.

Od jednego z prenumeratorów „Promienia“ otrzymaliśmy list, w którym autor porusza myśl stworzenia znaczniejszego kapitału... a to z centowych składek za niepoprawne wyrażanie się w języku ojczystym. Autor przypomina podobny projekt, który nie dawno umieszczony był w „Promieniu“ i odwołując się do niego, sądzi, że w ten sposób uzyska się większą sumę, którą można będzie przeznaczyć na „cele patryotyczne“ n. p. gimnazyum cieszyńskie, odnowienie Wawelu i t. p. Musimy zaznaczyć, że myśl choć sama przez się bardzo piękna, w rzeczywistości jest niewykonalna. Zebranie bowiem znaczniejszej sumy pieniędzy w powyższy sposób jest niemożliwe. Pominąwszy już, że zebranie większego funduszu musiałoby się przeciągnąć na długi szereg lat, wiemy z doświadczenia, że świadoma dbałość o język ojczysty jest jeszcze bardzo mało rozwinięta wśród naszej młodzieży gimnazyalnej i nie jeden wykoszlawiający niemiłosiernie swój język, nie poczuje się do obowiązku złożenia nawet centowego haraczu.

O ile więc myśl taka, ograniczająca się na szczuplem gronie kolegów jednej klasy lub gimnazyum jest pożądaną i może się przyczynić do oczyszczenia języka, o tyle zamiar utworzenia jakiegoś funduszu, odrębnej organizacyi, stypendyów i t. p. w praktyce nie da się zastosować.

Walne Zgromadzenie „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych“ odbyło się we Lwowie w czasie Zielonych Świąt. Z wniosków, uchwalonych na zgromadzeniu zasługują na uwagę następujące. 1) Walne Zgromadzenie uważa

za rzecz pożądaną, ażeby od czasu do czasu uczniowie klas wyższych pod kierunkiem profesorów i historyi nauk przyrodniczych odbywali naukowe wycieczki po kraju; w tym celu Wydział Towarzystwa obmyśli sposób zebrania funduszów dla udzielania na ten cel subwencyi uboższej młodzieży. 2) Walne Zgromadzenie wyraża przekonanie, iż konieczną jest rzeczą dla nauki języka polskiego w klasach I i II powiększyć liczbę godzin; poleca Wydziałowi Towarzystwa, aby odpowiedni wniosek przedstawił Krajowej Radzie Szkolnej.

Wnioski Wydziału w sprawie nadzoru nad zachowaniem się młodzieży poza szkołą, obejmujące sprawę ścisłego ze strony władz nadzoru nad szynkami i tym podobnymi lokalami i zaprowadzenie kart legitymacyjnych dla uczniów szkół średnich odesłano do poszczególnych Kół Towarzystwa, co jest identyczne z odrzuceniem tych wniosków, z których drugi szczególnie jest zupełnie bezpodstawny i nie ma najmniejszej racyi za sobą. Charakterystycznym jest jeszcze jeden szczegół. Na temsamem Walnem Zgromadzeniu składał sprawozdanie o przebiegu i uchwałach ankiety dla reformy szkół średnich prof dr. *Mieczysław Warmski*, delegat Towarzystwa, który zarówno na ankiecie samej, jak i przedtem w artykułach swoich, drukowanych w „Słowie Polskiem" zajął w kwestyi reformy stanowisko bardzo postępowe i z wielką energią wystąpił przeciw dzisiejszemu systemowi szkolnemu, szczególnie zaś przeciw wszechwładnie panującej w szkołach filologii klasycznej. Dlatego też Walne Zgromadzenie na wniosek ks. dra *Pechnika* przyjęło wprawdzie do wiadomości sprawozdanie dra Warmskiego, ale nie wyraziło mu votum zaufania, stwierdzając w ten sposób, że Towarzystwo do reformy bynajmniej nie jest skłonne.

Konferencya dyrektorów. W dniach 24 i 25 kwietnia odbyła się we Lwowie konferencya dyrektorów szkół średnich w Galicyi. Wygłoszono cały szereg referatów, z których najciekawsze zapewne szczegóły pozostały w tajemnicy, w urzędowych zaś komunikatach pomieszczono tylko suche streszczenia. Znajdujemy w nich jednę ciekawą wiadomość, mianowicie, że jako jedyny środek zaradczy przeciw szerzącej się wśród młodzieży szkolnej demoralizacyi uznano zakładanie jak największej ilości t. zw. internatów czyli burs szkolnych. Każdy, kto zna urządzenie dzisiejszych internatów galicyjskich, zrozumie, że ten środek wcale nie sprowadzi pożądanej zmiany, ale przeciwnie powstrzyma ją i odwlecze na czas dłuższy.

Rzadki objaw. Z radością i uznaniem podnosimy fakt, należący w galicyjskich szkołach średnich do wyjątków. Oto dyrektor szóstego gimnazyum, p. Rawer, w wykładzie swoim o rewolucyi francuskiej wykazał, że przyczyną główną rewolucyi było nie agitatorstwo i chęć łupienia i grabieży u „tłumów ulicznych", ale ucisk i najstraszniejsza nędza, spowodowane okrutnym wyzyskiem ze strony warstw górnych i spychaniem wszelkich ciężarów na klasy niższe. Bezstronny ten sąd w kwestyi, prawie zawsze przekręcanej i w fałszywem świetle przedstawianej zasługuje na uwydatnienie i podniesienie.

Pożądany skutek. Czytelnicy nasi przypomną sobie zapewne artykuł drukowany w „Promieniu" (Nr. 3.) p. t. „Spostrzeżenia pesymisty. Zabawy dla młodzieży szkół średnich". W artykule tym poruszoną była kwestya bezcelowego składania 1 korony na t. zw. „zabawy szkolne", które albo wcale nie, albo w miniaturowych rozmiarach się odbywają. Uwagi nasze poskutkowały. Oto w lwowskiej szkole realnej i w gimnazyum Fr. Józefa we Lwowie, profesorowie zaczynają się zabierać do tych zabaw bardziej na seryo, pojawiają się już nawet nowe przyrządy i przybory do rozmaitych gier. Dalecy od chęci przypisywania sobie w tem zasługi i wpływu, zaznaczamy ten fakt jako bardzo pomyślny objaw, który może zapobieże stworzeniu organizacyi „wojska polskiego" we Lwowie, o jakiem zaczynają już chodzić pogłoski.

Smutne skutki. W ostatniej walnej bitwie wojska gimnazyalnego w Krakowie przyszło do ostrych starć. Kilku zostało poranionych. W wielu rękach świeciły się scyzoryki; bluzy potargane. ręce pokrwawione to skutki tej zabawy, która ma zapobiedz demoralizowaniu się młodzieży!

System znęcania się nad dziećmi, uprawiany przez „kulturträgerów pruskich" znalazł oddźwiek w sercach niektórych profesorów polskich. Tym środkiem pedagogicznym posługują się aż nadto często 2 profesorowie kl. III. gimnazyum św. Anny w Krakowie. Zapomnieli oni widocznie, że znęcanie się nad uczniami i bicie po twarzy jest wzbronione ustawą, że takie postępowanie wpływa demoralizująco na umysł ucznia, który potrzebuje serdecznego, ojcowskiego słowa, a nie knuta i policzków.

Historya alchemii.

(Dokończenie.)

Z początkiem wieku XVI. zaczyna alchemia schodzić z porządku dziennego, przestaje być nauką, a staje się czemś podobnem, jak kuglarstwo, magia itd. Mimo to nie upada wiara w możliwość przemiany metali i dzięki temu alchemiści znajdują jeszcze dość znaczne poparcie. I tak np. Luter ceni ich bardzo wysoko, opiekują się nimi ciągle jeszcze książęta i królowie, którzy nie pamiętając o dotychczasowych rozczarowaniach i oszustwach sami nawet czynnie pracują nad wynalezieniem kamienia filozoficznego, sami stają się zaciekłymi alchemistami. Takimi byli np. burgrabia norymberski, *Jan*, elektor saski *August* a przedewszystkiem *cesarz niemiecki Rudolf II.* Dopiero dalsze doświadczenia i zawody, olbrzymie często straty nauczyły ich rozumu, a wtedy surowo karali oszustów, którym się uwieść dali.

W połowie w. XVIII. zaczyna alchemia coraz bardziej i stanowczo podupadać. Teraz nareszcie wyzwala się chemia właściwa z pod wpływu alchemii, bo dotychczas nawet znakomitsi chemicy, którzy już całkiem na serio traktowali umiejętność chemii i pchnęli ją już na drogę prawdy i rozumu, na drogę rzeczywistego rozwoju, użyczali swego poparcia alchemistycznym absurdom. Alchemiści usiłują wzmocnić się jeszcze przez związki z nowo powstającemi tajnemi stowarzyszeniami Illuminatów i Wolnomularzy, ale bezskutecznie. Ostateczny cios zadaje im wystąpienie *Boyle'go* i *Lavoisiera*, którzy dali podstawy nowożytnej chemii, nie możemy się jednak dziwić, że jeszcze potem znajdą się ludzie, którzy zajmują się wynalezieniem kamienia filozoficznego; zbyt głęboko bowiem zakorzeniona była wiara w te rzeczy w ciągu wieków średnich, zbyt długo była podtrzymywaną, aby odrazu zagasnąć mogła i w tem stuleciu jeszcze wiara ta istniała (hermetyczne stowarzyszenie) i dotąd faktycznie wytępioną nie jest.

Na zakończenie podamy jeszcze parę wyjaśnień odnośnie do samych problematów alchemistycznych i ich rozwoju. Stoją one w związku z hypotezami Platona i Arystotelesa co do wzajemnej przemiany czterech żywiołów, tj. wody, powietrza, ognia i ziemi. Platon powiada mianowicie w dziele swojem „Timäus,“ że woda przez zgęszczenie przemienia się w kamień i ziemię, przez rozcieńczenie w wiatr i powietrze; zapalone powietrze staje się ogniem, ogień przygaszony staje się powietrzem, które przemienia się w mgłę, mgła nakoniec skrapla się w wodę i t. d. Alchemiści z tych przypuszczeń wywnioskowali, że podobna przemiana możliwa jest i u innych ciał, specyalnie metali, a na początku przytoczone pozory utwierdzały ich w tym błędzie. Wspomniany wyżej *Geber* pierwszy teoretycznie chciał uzasadnić możliwość tej przemiany, a teorya jego jest następująca. Wszystkie metale składają się z dwóch pierwiastków *siarki i rtęci* (może się znaleść jeszcze trzeci, tj. arszenik, ale niekoniecznie), które złożone są ze sobą w rozmaitym stosunku, a od tego właśnie zależą właściwości danego metalu. Przemiana metali polega na zmianie tego stosunku, a uszlachetnienie ich na *oczyszczeniu i ustaleniu rtęci* (ustalenie= przejście ze stanu ciekłego w stan stały); te dwa konieczne składniki każdego metalu, siarkę i rtęć odróżnia Geber *przeważnie* od rtęci i siarki, w naturze występujących, (czasami je zupełnie identyfikuje), i uważa je jako rzeczy oderwane, do których przywiązane są pewne oznaczone własności metalu: Rtęć reprezentuje połysk, rozciągliwość, a więc, właściwe przymioty metali; siarka jako materyał łatwo zapalny, powoduje zmiany metalu w ogniu. Na podstawie tej teoryi metale, wytrzymałe na ogień, zawierałyby prawie samą czystą rtęć, która jednak już z tej przyczyny nie może być rtęcią naturalną, bo ta szybko się ulatnia. (Geber przypuszczał, że naturalna *rtęć zawiera siarkę*). Dla urzeczywistnienia dowolnej przemiany metali w myśl powyższej teoryi, każe Geber używać t. zw. *medycyn*. Medycyny te dzielą się na 3 kategorye. Pierwsza kategorya wywołuje pewne zmiany u metali nieszlachetnych, ale nieznaczne i niedotyczące układu ciała. Medycyny drugiej kategoryi powodują częściowe uszlachetnienie danego metalu, dopiero środki trzeciej kategoryi tj. kamień filozoficzny lub t. zw. wielki eliksir (czerwona tynktura) są w stanie dokonać uszlachetnienia wszelkie rodzaju metali.

Następcy Gebera trzymają się jego teoryi, tylko *Albertus Magnus* zmienia ją o tyle, że uważa *jako składniki metali* arszenik, siarkę i wodę, *Lullus* zaś rozszerza ją *do wszystkich*

ciał, nietylko metali. *Basilius Valentinus* przypisuje metalom oprócz siarki i rtęci jeszcze *trzeci składnik tj. sól* i to nie znaną i używaną sól, ale sól teoretyczną, obejmującą takie własności ciała, *jak stałość, wytrzymałość w ogniu*, (solą są resztki pozostające po spaleniu ciała) podczas gdy rtęć powoduje własności metaliczne i łatwe ulatnianie się, od zawartości zaś siarki zależą zmiany metali w ogniu i ich barwa. Ten sam *Basilius* odnosi swoją teoryę *do wszystkich ciał*. Późniejsi alchemiści nie troszczą się już o samą teoryę, ale zaprzątają sobie głowę *wynalezieniem tego błogosławionego kamienia filozoficznego*. Do tego potrzeba było t. zw. *materia prima*, a zrobienie tej materyi uchodziło za rzecz najtrudniejszą. Do uzyskania jej używano wszelkich możliwych produktów naturalnych, a komu się zdawało, że ją nareszcie otrzymał, ten utrzymywał sposób zrobienia preparatu w najgłębszej tajemnicy. Operacye zapomocą tej „materia prima“ opisywali jej właściciele w sposób bardzo zagadkowy, posługując się przenośniami i obrazami np. smoków, czerwonego albo żółtego lwa, lilii, białego łabędzia, a przez to bałamucili i zwodzili jeszcze więcej ludzi. Szczęśliwy posiadacz kamienia filozoficznego mógł przy pomocy jego, zdaniem alchemistów, wykonywać rzeczy niepojęte. Przytoczymy tu wyjątek z dzieła *Raymunda Lullusa*, który powiada: „Weź kawałeczek tej kosztownej medycyny (kamienia filozoficznego), nie większy jak ziarnko, wrzuć go do 1000 uncyi rtęci, a rtęć zamieni się w złoty piasek. Uncya tego piasku dodana do 1000 uncyj rtęci zamieni ją w złoty proszek, którego uncya zmieszana znowu z 1000 uncyj rtęci daje *medycynę*. Uncya medycyny i 1000 uncyi rtęci daje znowu medycynę, a nakoniec uncya tej ostatniej medycyny, dodana do 1000 uncyj rtęci, utworzy razem złoto prawdziwe, lepsze niż złoto wydobyte w kopalniach. Oprócz przemiany metali w złoto, posiadał kamień filozoficzny, moc przywracania i utrzymywania życia i zdrowia; przy pomocy tego uniwersalnego lekarstwa można było przedłużyć sobie życie o 400 lat i powszechnie utrzymywano, że tą drogą właśnie zapewnili sobie patryarchowie z biblii tak długie życie; szczytem wszystkiego było mniemanie, że posiadając kamień filozoficzny można było *stwarzać żyjące istoty*.

Wszystkie te teorye i przypuszczenia były wyprowadzone bez żadnych doświadczeń i obserwacyj, któreby mogły sprawdzić zarówno skład chemiczny metali, jak i rzeczyste własności tego kamienia filozoficznego. Ludzkość cała popadła pod względem alchemii w dziwny szał, uległa niepojętemu dziś dla nas zboczeniu umysłowemu, które doszło do bardzo wysokiego stopnia, zwichnęło cały szereg genialnych ludzi, odwodząc ich od prawdziwej wiedzy i nauki ku marnemu kuglarstwu i odbierając im zdrowy rozum i sąd, naukę chemii powstrzymało w rozwoju o kilka wieków.

Znaczenie, jakie ma alchemia w chemii, jest mniejwięcej takie, jak znaczenie astrologii w astronomii. W okresie alchemii przygotowują się podwaliny pod przyszłą naukę chemii, a temi podwalinami są gruntowne badania materyałów; pracując bowiem nad złożeniem kamienia filozoficznego, musiano zaznajamiać się z różnego rodzaju materyałami, a to wychodziło na korzyść rzeczywistej wiedzy. W ten sposób dokonano kilku ważnych bardzo w technice wynalazków, np. wynalazku porcelany (przez Bötgera), odkryto niektóre pierwiastki np. fosfor (przez Brandta) i skład chemiczny niektórych ciał np. cynobru, (rtęć i siarka, odkrycie dokonane przez *Gebera*).

Wogóle jest alchemia pomostem, przez który przeszła chemia na właściwą drogę, ale przyznać trzeba, że zbyt długo trwało budowanie tego pomostu, a nauka chemii zbyt długo na nim była zatrzymaną.

Odpowiedzi od Redakcyi

dla braku miejsca odkładamy do numeru następnego.

Upraszamy o rychłe odnowienie prenumeraty.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.